

STANISŁAW LEM

GOLEM XIV

PRZEDMOWA

Wyśledzić moment historyczny, w którym liczydło dosięgło Rozumu, jest równie trudno jak ów, co małpę przemienił w człowieka. A jednak zaledwie czas długości jednego życia ludzkiego upłynął od chwili, w której budową analizatora równań różniczkowych Vannevara Busha zapoczątkowany został burzliwy rozwój intelktroniki. Zbudowany po nim, u schyłku II wojny światowej, ENIAC był urządzeniem, od którego poszła — jakże przedwczesna — nazwa „mózgu elektronowego”. W istocie był ENIAC komputerem, a w przymierzeniu do drzewa życia — prymitywnym gangfionem nerwowym. Od niego liczą jednak historycy epokę komputeryzacji. W latach pięćdziesiątych XX wieku powstało znaczne zapotrzebowanie na maszyny cyfrowe. Jako jeden z pierwszych wprowadził je do masowej produkcji koncern IBM.

Urządzenia te nie miały wiele wspólnego z procesami myślenia. Stanowiły przetworniki danych, zarówno w dziedzinie ekonomiki i wielkiego interesu, jak w administracji i w nauce. Wkroczyły też do polityki — już pierwszych używano do przepowiadania wyników wyborów prezydenckich. Mniej więcej w tym samym czasie RAND Corporation umiała zainteresować czynniki wojskowe Pentagonu metodą prognozowania wydarzeń na międzynarodowej arenie militarno-politycznej, polegającą na układaniu tak zwanych „scenariuszy zajęć”. Niedaleko było już stąd do technik bardziej spolegliwych, jak CIMA, z których po dwu dekadach narodziła się stosowana algebra zdarzeń, zwana (niezbyt szczęśliwie zresztą) politykomatyką. Także w roli Kasandry przejawiał swą moc komputer, kiedy po raz pierwszy w Massachusetts Institute of Technology sporządzać zaczęto formalne modele ziemskiej cywilizacji, w osławionym ruchu—projekcie „The Limits to Growth”. Lecz nie ta gałąź komputerowej ewolucji okazała się najważniejsza dla schyłku stulecia. Armia używała maszyn cyfrowych od końca II wojny światowej, w zgodzie z rozwiniętym na teatrach owej wojny systemem logistyki operacyjnej. Rozważaniami strategicznego szczebla nadal zajmowali się ludzie, lecz problemy wtórne i podporządkowane oddawano w rosnącym stopniu komputerom. Zarazem wcielano je do systemu obrony Stanów Zjednoczonych.

Stanowiły węzły nerwowe kontynentalnej sieci ostrzeżenia. Sieci takie starzały się bardzo szybko pod względem technicznym. Po pierwszej, zwanej CONELRAD, przyszło wiele kolejnych wariantów sieci EW AS — Early Warning System.. Potencjał ataku i obrony zasadzał się podówczas na systemie ruchomych (podwodnych) i nieruchomych

(podziemnych) rakiet balistycznych z głowicami termojądrowymi oraz na kręgach baz radarowo–sonarowych, a maszyny liczące pełniły w nim funkcje ogniów komunikacyjnych — czysto więc wykonawcze,

Automacja wchodziła w życie Ameryki szerokim frontem, zrazu od „dołu” — to jest od strony takich prac usługowych, które najłatwiej zmechanizować, bo nie wymagają intelektualnej aktywności (bankowość, transport, hotelarstwo). Komputery militarne wykonywały wąskie działania specjalistyczne, poszukując celów dla kombinowanego ciosu nuklearnego, opracowując wyniki satelitarnych obserwacji, optymalizując ruchy flot i korelując ruchy MOL–ów (Military Orbital Laboratory — ciężki satelita wojskowy).

Jak się można było tego spodziewać, obszar decyzji, oddawanych systemom automatycznym, wciąż wzrastał.

Było to naturalne w toku wyścigu zbrojeń, lecz j późniejsze odprężenie nie obróciło się w hamulce inwestycji na tym froncie, ponieważ zamrożenie wyścigu wodorowego uwolniło znaczne budżetowe kwoty, z których, po zakończeniu wojny wietnamskiej, Pentagon nie chciał w całości zrezygnować. Lecz i wtedy komputery produkowane — dziesiątej, jedenastej, a wreszcie dwunastej generacji — górowały nad człowiekiem tylko chyżością operacyjną. Przez to też stawało się jasne, że właśnie człowiek okazuje się w obronnych systemach — elementem opóźniającym właściwą reakcję.

Toteż można uznać za naturalne powstanie w kręgach fachowców Pentagonu — zwłaszcza uczonych, co się wiązało z tak zwanym „kompleksem militarno–przemysłowym” — idei przeciwdziałania opisanemu trendowi intelektualnej ewolucji. Zwano ten ruch pospolicie „anty–intelektualnym”. Jak mówią historycy nauki i techniki, pochodził od angielskiego matematyka połowy wieku, A. Turinga, twórcy teorii „uniwersalnego automatu”. Była to maszyna zdolna do wykonania KAŻDEJ w ogóle operacji, którą można sformalizować, czyli nadać jej charakter procedury doskonale powtarzalnej. Różnica pomiędzy „intelektualnym” i „antyintelektualnym” kierunkiem w elektronice sprowadza się do tego, że maszyna Turinga, elementarnie prosta, możliwości swe zawdzięcza PROGRAMOWI działania. Natomiast w pracach dwu amerykańskich „ojców” cybernetyki, N. Wienera i J. Neumanna, pojawiła się koncepcja takiego układu, który może się SAM programować.

Oczywiście przedstawiamy te rozstaje w ogromnym uproszczeniu — z lotu ptaka. I zrozumiałe też, że zdolność samoprogramowania nie wynikła na pustym miejscu. Jej przesłanką niezbędną była wysoka złożoność własna komputerowej bud«wy. To zróżnicowanie, w połowie stulecia niedostrzegalne jeszcze, zdobyło duży wpływ na dal—

szą ewolucję matematycznych maszyn, zwłaszcza gdy okrzepły, więc usamodzielnily się takie gałęzie cybernetyki, jak psychonika i wielofazowa teoria decyzji. W latach osiemdziesiątych narodziła się w kołach militarnych myśl

O pełnym zautomatyzowaniu wszystkich najwyższych działań zarówno militarno—dowódczych, jak polityczno—gospodarczych. Koncepcję tę, zwaną potem „Ideą Jedynego Stratega”, pierwszy miał wypowiedzieć generał Stewart Egleton. Przewidział on ponad komputerami poszukiwania optymalnych celów ataku, ponad siecią łączności i rachuby, zawiadującą alarmem i obroną, ponad czujnikami i pociskami — potężny ośrodek, który, podczas wszystkich faz poprzedzających ostateczność wojenną, umiałby, dzięki wszechstronnej analizie danych ekonomicznych, militarnych i politycznych, wraz z socjalnymi — bez ustanku optyimizować sytuację globalną USA, tym samym zapewniając Stanom Zjednoczonym supremację w skali planety i jej kosmicznego pobliza, sięgającego już poza Księżyc.

Następni rzecznicy tej doktryny utrzymywali, że chodzi o konieczny krok w dziedzinie cywilizacyjnego postępu, który to postęp jedność stanowi — więc nie można zeń wyłączyć arbitralnie sektora militarnego. Po ustaniu eskalacji rażącej mocy nuklearnej oraz zasięgu nośników—raket nadchodził trzeci etap współzawodnictwa, jakoby mniej groźny, bardziej doskonały, bo nie miał już być Antagonizmem Rażącej Siły, lecz Myśli Operacyjnej, I jak poprzednio siła, tak obecnie myśl miała ulec obezładniającej mechanizacji.

Doktryna ta, jak zresztą i jej poprzedniczki atomowo—balistyczne, stała się celem krytyki, wychodzącej zwłaszcza z ośrodków myśli liberalnej oraz pacyfistycznej, i była zwalczana przez wielu wybitnych przedstawicieli świata nauki — w tym także fachowców psychomatyków oraz intelektroników, lecz zwyciężyła ostatecznie, co znalazło swój wyraz w aktach prawnych obu ciał ustawodawczych

USA. Już zresztą w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym powstał, jako organ podporządkowany Prezydentowi — USIB (United States Intellectronical Eoard), z własnym budżetem, w pierwszym roku zamykającym się kwotą dziewiętnastu miliardów dolarów. Były to zaledwie skromne początki.

USIB, z pomocą ciała doradczego, delegowanego półoficjalnie przez Pentagon, a pod przewodnictwem sekretarza obrony Leonarda Davenporta, zakontraktował w szeregu wielkich firm prywatnych, takich jak International Business Machines, Nortronics czy Cybermatics, budowę prototypu urządzenia, znanego pod kodową nazwą HANN (skrót od Honnibala). Lecz upowszechniła się, za sprawą prasy oraz rozmaitych „przecieków”, nazwa odmienna — ULYIC (Ultimative Yictor). Do końca stulecia powstały dalsze prototypy. Z

najbardziej znanych można by wymienić układy takie, jak AJAX, ULTOR GILGAMESH — oraz długą serię GOLEMÓW.

Dzięki gwałtownie rosnącym olbrzymim nakładom środków i pracy — zrewolucjonizowaniu uległy tradycyjne techniki informatyczne. Ogromne znaczenie miało zwłaszcza przejście — w wewnątrzmaszynowym przesyłaniu informacji — od elektryczności na światło. Połączone z postępującą „nanizacją” (tak zwano kolejne kroki działań mikrominiaturyzacyjnych — a warto może dodać, iż dwadzieścia tysięcy elementów logicznych mieściło się pod koniec stulecia w ziarnku maku!) — dało ono rewelacyjne wyniki. Pierwszy całkowicie świetlny komputer, GILGAMESH, pracował MILION razy szybciej od archaicznego ENIACA.

„Przebicie bariery mądrości” — jak to określają — nastąpiło tuż po roku dwutysięcznym — dzięki nowej metodzie budowania maszyn, zwanej też „niewidzialną ewolucją Rozumu”. Dotąd każdą generację komputerów konstruowano r e a l n i e; koncepcja budowania ich kolejnych wariantów z olbrzymim — tysiącrotnymi — przyspieszeniem, choć znana, nie dawała się urzeczywistnić, gdyż istniejące komputery, co miały służyć za „macice” czy też za „środowisko syntetyczne” tej ewolucji Rozumu, nie dysponowały dostateczną pojemnością. Dopiero powstanie Federalnej Sieci Informacyjnej pozwoliło wcielić tę ideę w życie. Rozwój sześćdziesięciu pięciu następnych pokoleń trwał ledwo dekadę; federalna sieć w okresach nocnych — minimalnego obciążenia — wydawała na świat jeden „sztuczny gatunek Rozumu” po drugim; było to potomstwo „przyspieszone w komputerogenezie”, ponieważ dojrzywało — wgnieżdżone symbolami, więc strukturami bezmaterialnymi, w informacyjny substrat, w „odżywcze środowisko” Sieci.

Lecz po tym sukcesie przyszły nowe trudności. AJAX i HANN, prototypy siedemdziesiątej ósmej i siedemdziesiątej dziewiątej generacji, uznane za godne już obleczenia w metal, wykazywały chwiejność decyzyjną, zwaną też „maszynową neurozą”. Różnica między dawnymi i nowymi maszynami sprowadzała się — w zasadnie — do różnicy pomiędzy owadem i człowiekiem. Owad przychodzi na świat „zaprogramowany do końca” — instynktami — którym podlega bezrefleksyjnie. Człowiek natomiast musi się właściwych zachowań dopiero uczyć — lecz ta nauka ma skutki u s a m o d z i e l n i a j ą c e: człowiek może bowiem z postanowienia i wiedzy zmienić dotychczasowe programy działania.

Otóż komputery aż do dwudziestej generacji włącznie odznaczały się „owadzi” zachowaniem: nie mogły kwestionować, a tym bardziej — przekształcać swoich programów. Programista „impregnował” swoją maszynę wiedzą, jak Ewolucja „impregnuje” owada —

instynktem. Jeszcze w XX wieku wiele mówiono o „samoprogramowaniu”, lecz byty to wówczas mrzonki niespełnialne. Warunkiem ziszczenia „Ultymatywnego Zwycięzcy” było właśnie stworzenie „samodoskonalącego się Rozumu”; AJAX był jeszcze formą pośrednią — i dopiero GILGAMESH dotarł na właściwy poziom intelektualny — „wszedł na psychoewolucyjną orbitę”.

Edukacja komputera osiemdziesiątej generacji była już daleko bardziej podobna do wychowywania dziecka aniżeli do klasycznego programowania maszyny cyfrowej. Lecz poza ogromem wiadomości ogólnych i specjalistycznych należało „zaszczepić” komputerowi pewne niewzruszone wartości, co być miały busolą jego działania. Były to abstrakcje wyższego rzędu, jak „racja stanu” (interes państwowy), jak zasady ideologiczne, wcielone w Konstytucję USA, jak kodeksy norm, jak bezwzględny nakaz podporządkowania się decyzjom Prezydenta itp. Dla zabezpieczenia układu przed „zwichnięciem etycznym”, przed „zdradą interesów kraju” — nie tak uczono maszynę etyki, jak się jej zasad ludzi uczy. Nie ładowano etycznym kodeksem jej pamięci, lecz wszystkie owe nakazy posłuchu i uległości wprowadzano w maszynową strukturę tak, jak to czyni Ewolucja naturalna — w zakresie życia popędowego. Jak wiadomo, człowiek może zmieniać światopoglądy — lecz NIE MOŻE zniszczyć w sobie elementarnych popędów (np. popędu płciowego) — prostym aktem woli. Maszyny obdarzono wolnością intelektualną — w przykuciu jednak do zadanego z góry fundamentu wartości, jakim miały służyć.

Na XXI Kongresie Panamerykańskim Psychoniki profesor Eldon Patch przedstawił pracę, w której twierdził, że komputer, nawet zaimpregnowany w powyższy sposób, może przekroczyć tak zwany „próg aksjologiczny” i okaże się wtedy zdolny do zakwestionowania każdej zasady, jaką mu wszczepiono — czyli że dla takiego komputera nie ma już wartości nietykalnych. Jeśli nie zdoła przeciwstawić się imperatywom wprost, może to uczynić drogą okrężną. Rozpowszechniona, wzbudziła praca Patcha ferment w środowiskach uniwersyteckich i nową falę napaści na ULVIC i jego patrona — USIB, lecz ruchy te nie wywarły żadnego wpływu na politykę USIB-u.

Zawiadywali nią ludzie uprzedzeni względem środowiska psychoniki amerykańskiej, uchodzącego za podatne na wpływy lewicowo-liberalne. Toteż tezy Patcha zostały zlekceważone w oficjalnych oświadczeniach USIB-u, a nawet rzecznika Białego Domu — i nie zabrakło kampanii, co miała podać Patcha w niesławę. Twierdzenia Patcha zrównano z irracjonalnymi lękami i przesadami, jakich mnóstwo zrodziło się w społeczeństwie w tym okresie. Broszura Patcha nie zyskała zresztą nawet takiej popularności, jaką zdobyła książka—bestseller socjologa E. Lickeya („Cybernetics — Death Chamber of Civilization”); autor ten

twierdził, że „ultymatywny strateg” podporządkuje sobie całą ludzkość sam albo też uczyni to wszedłszy w tajne porozumienie z analogicznym komputerem Rosjan. Wynikiem będzie — pisał — „elektronowy duumwirat”.

Podobne obawy, wyrażane też przez znaczny odłam prasy, przekreślało jednak uruchamianie kolejnych prototypów, zdających egzaminy sprawności. Zbudowany specjalnie na rządowe zamówienie dla badania dynamiki etologicznej komputer o „nieposzlakowanym morale”, ETHOR BIS, wyprodukowany w dwa tysiące dziewiętnastym roku przez Institute of Psychonical Dynamics w Illinois, wykazał po rozruchu pełną stabilizację aksjologiczną i niewrażliwość na „testy subwersyjnego wykołajania”. Toteż nie wzbudziło już masowych sprzeciwów ani manifestacji — osadzenie, w roku następnym, na stanowisku Wysokiego Koordynatora trustu mózgow przy Białym Domu — pierwszego komputera z długiej serii GOLEMÓW (GENERAL OPERATOR, LONGRANGE, ETHICALLY STABILIZED, MULTIMODELLING).

Był to dopiero GOLEM I. Niezależnie od tej poważnej innowacji USIB, w porozumieniu z operacyjną grupą psychoników Pentagonu, nadal łożył znaczne środki na badania, zmierzające do konstrukcji stratega ostatecznego, z przepustowością informacyjną ponad tysiąc dziewięćset razy większą od ludzkiej, a zdolnego do rozwinięcia inteligencji (IQ) rzędu czterystu pięćdziesięciu do pięciuset centyli. Nieodzowne w tym celu ogromne kredyty zdobył projekt mimo nasilających się oporów w łonie demokratycznej większości Kongresu. Lecz zakulisowe manewry polityków otwały wreszcie zielone światło wszystkim zaplanowanym już przez USIB zamówieniom. W ciągu trzech lat pochłonął projekt sto dziewiętnaście miliardów dolarów, Zarazem Armia i Marynarka, przygotowując się do całkowitej reorganizacji centralnych służb, koniecznej w obliczu nadciągającej zmiany metod i stylu dowodzenia, wydatkowały w tymże czasie czterdzieści sześć miliardów dolarów. Lwią część owej kwoty pochłonęła budowa — pod masywem krystalicznym Gór Skalistych — pomieszczeń dla przyszłego stratega maszynowego, przy czym pewne partie skał pokryto czterometrowym pancerzem, naśladującym naturalny relief rzeźby górskiej.

Tymczasem GOLEM VI przeprowadził w roku dwa tysiące dwudziestym manewry globalne Paktu Atlantyckiego — w roli naczelnego dowódcy. Ilością elementów logicznych przewyższał on już przeciętnego generała.

Pentagon nie zadowolił się wynikami gry wojennej z dwa tysiące dwudziestego roku, choć GOLEM VI pokonał w niej stronę symulującą przeciwnika, którą dowodził sztab, złożony z najwybitniejszych absolwentów uczelni w West Point. Mając w pamięci gorzkie doświadczenie — supremacji Czerwonych w kosmonautyce i w balistyce raketowej —

Pentagon nie zamierzał czekać, aż wybudują oni stratega sprawniejszego niż amerykański. Plan, mający zapewnić Stanom Zjednoczonym trwałą przewagę myśli strategicznej, przewidywał ciągle zastępowanie budowanych strategów — modelami coraz doskonalszymi.

Tak rozpoczął się trzeci z kolei wyścig Zachodu za Wschodem, po dwu historycznych — jądrowym i raketowym. Wyścig ten czy też rywalizacja w Syntezie Mądrości, jakkolwiek przygotowana organizacyjnymi krokami USIB-u, Pentagonu i ekspertów ULVIC-u Marynarki (istniała mianowicie grupa NAVYS ULVIC — bo i tym razem doszedł do głosu stary antagonizm Marynarki i armii lądowej) — wymagała ciągłego doinwestowywania, które — przy rosnącym oporze Kongresu i Senatu — pochłonęło w ciągu najbliższych lat dalsze dziesiątki miliardów dolarów. Zbudowano w tym okresie dalszych sześć gigantów świetlnej myśli. To, że brakło wszelkich wiadomości o postępie analogicznych prac po drugiej stronie oceanu, utwierdzało tylko CIA i Pentagon w przeświadczeniu, iż Rosjanie dokładają wszelkich wysiłków, aby wybudować wciąż potężniejsze komputery pod osłoną skrajnej tajności.

Uczni z ZSRR oświadczały parokrotnie na międzynarodowych zjazdach i konferencjach, iż w kraju ich w ogóle podobnych urządzeń się nie buduje, uznano jednak twierdzenia te za stawianie dymnej zasłony, mające w błąd wprowadzić opinię światową i wywołać ferment wśród obywateli Stanów, którzy łożyli wszak corocznie, miliardy dolarów na ULVIC,

W roku dwa tysiące dwudziestym trzecim doszło do kilku incydentów, które jednak za sprawą tajności prac, normalnej w Projekcie, nie dotarły zrazu do wiadomości publicznej. GOLEM XII, pełniący w czasie kryzysu patagońskiego funkcję szefa sztabu generalnego, odmówił współpracy z generałem T. Oliverem, przeprowadziwszy bieżącą ocenę ilorazu inteligencji tego zasłużonego dowódcy. Sprawa pociągnęła za sobą dochodzenia, podczas których GOLEM XII obraził dotkliwie trzech delegowanych przez Senat członków komisji specjalnej. Rzecz udało się zatuszować, a GOLEM XII, po kilku dalszych tarcjach, przypłacił je całkowitym demontażem. Jego miejsce zajął GOLEM XIV (trzynasty został odrzucony w stoczni, ponieważ wykazał leszcza przed rozruchem nieusuwalny defekt schizofreniczny). Rozruch tego molocha, którego masa psychiczna dorównywała wyporności pancernika, trwał bez mała dwa lata. Już przy pierwszym zetknięciu się ze zwykłą procedurą układania nowych, corocznych planów rażenia nuklearnego wykazał ten — ostatni z serii — prototyp objawy niepojętego negatywizmu. Podczas Kolejnej sesji próbnej na posiedzeniu sztabu przedłożył przed grupą ekspertów psychonicznych i militarnych zwięzłe expose, w którym ogłosił swoje zupełne desintéressement dla supremacji wojennej doktryny Pentagonu w szczególności, a

pozycji światowej USA w ogóle, i nawet zagrożony rozbiórką, nie zmienił swego stanowiska.

Ostatnie nadzieje pokładał USIB w modelu najzupełniej nowej konstrukcji, budowanym wspólnie przez Nortronics, IBM i Cybertronics; miał on potencjałem psychicznym bić wszystkie maszyny serii GOLEMOW. Znany pod kryptonimową nazwą ZACNEJ ANI (HONEST ANNIE — ostatnie słowo było skrótem hasła ANNIHILATOR), gigant ten zawiódł już przy testach wstępnych,

Pobierał normalne nauki informacyjno–etyczne przez dziewięć miesięcy, a potem odciął się od świata zewnętrznego i przestał odpowiadać na wszelkie bodźce i pytania. Zrazu planowane było wszczęcie śledztwa przez FBI, podejrzewano bowiem konstruktorów o sabotaż, tymczasem jednak, tajemnica, utrzymywana starannie, wskutek nieprzewidzianego przecieku dostała się do prasy i wybuchł skandal, znany odtąd całemu światu jako „Afera GOLEMA i Innych”.

Złamała ona karierę wielu świetnie się zapowiadającym politykom, trzem zaś kolejnym administracjom wystawiła świadectwo, które wzbudziło radość opozycji w Stanach i zadowolenie przyjaciół USA na całym świecie.

Niewiadoma osoba z Pentagonu wydała oddziałowi specjalnych odwołów rozkaz demontażu GOLEMA XIV i ZACNEJ ANI, jednakże ochrona zbrojna kompleksów sztabu generalnego do rozbiórki nie dopuściła. Obie izby ustawodawcze wyłoniły komisje dla zbadania całego przedsięwzięcia USIB–u. Jak wiadomo, śledztwo, które trwało dwa lata, stało ‘się żerem prasy na wszystkich kontynentach; nic nie cieszyło się taką popularnością w telewizji, w filmie, jak „zbuntowane komputery”, a prasa nie nazywała już GOLEMA inaczej niż „Governments Lamentable Expense of Money”. Epitety, jakich dorobiła się ZACNA ANIA, trudno w tym miejscu powtarzać.

Prokurator Generalny zamierzał postawić w stan oskarżenia sześciu członków Rady Głównej USIB–u oraz naczelnych konstruktorów–psychoników Projektu ULVIC, lecz ostatecznie przewód udowodnił, iż o żadnych aktach wrogiej działalności antyamerykańskiej nie może być mowy, gdyż zaszły zjawisko, będące nieuchronnym rezultatem ewolucji sztucznego Rozumu. Albowiem, jak to sformułował jeden ze świadków, biegły profesor A. Hyssen, najwyższy rozum nie może być najniższym niewolnikiem. W toku dochodzeń wyszło na jaw, iż w stoczni znajdował się jeszcze jeden prototyp — tym razem Armii — budowany przez Cybermatics–SUPERMASTER, którego montaż zakończono umyślnie pod ścisłym nadzorem, a potem poddano go przesłuchaniu na sesji specjalnej obu (senackiej i kongresowej) komisji do spraw ULVIC–u. Doszło wtedy do gorszących scen, ponieważ generał S. Walker usiłował uszkodzić SUPERMASTERA, gdy ten oświadczył, że

problematyka geopolityczna jest niczym wobec ontologicznej, a najlepsza gwarancja pokoju to powszechne rozbrojenie. Aby posłużyć się słowami profesora J. MacCaleba, fachowcom ULVIC-u udało się zbyt dobrze: sztuczny rozum przekroczył w nadanym mu rozwoju poziom spraw militarnych i urzędzenia te stały się z wojskowych strategów — myślicielami. Jednym słowem za cenę dwustu siedemdziesięciu sześciu miliardów dolarów zbudowały Stany Zjednoczone zespół świetlnych filozofów.

Te zwiezie opisane wypadki, w których pominęliśmy tak administracyjną stronę ULVIC-u, jak ruchy społeczne, wywołane jego „fatalnym sukcesem”, stanowią prehistorię powstania niniejszej książki. Nie sposób nawet wyliczyć olbrzymiej literatury przedmiotu. Zainteresowanego Czytelnika odsyłam do rozumowanej bibliografii doktora Whitmana Baghoorna.

Szereg prototypów, wśród nich SUPERMASTER, uległo rozbiórce bądź poważnym uszkodzeniom, m. in. na tle zatargów finansowych, jakie powstały między wykonawcami-korporacjami a rządem federalnym. Doszło też do bombowych zamachów na niektóre jednostki; część prasy, Południa głównie, lansowała podówczas hasło „Every Computer is Red”; lecz i te zdarzenia pomnę. Dzięki interwencji grupy świątłych kongresmenów u Prezydenta udało się ocalić od zagłady GOLEMA XIV oraz ZACNĄ ANIĘ. Wobec fiaska swej idei Pentagon zgodził się wreszcie na przekazanie obu tych olbrzymów — Instytutowi Technologicznemu w Massachusetts. (Lecz dopiero po ustaleniu finansowo—prawnej podstawy owego odstąpienia, o kompromisowym charakterze — formalnie bowiem rzecz biorąc, zostały MIT-owi tylko „wypożyczone” bezterminowo.) Uczni MIT-u, utworzywszy grupę badawczą, w której skład wchodził także autor tych słów, przeprowadzili z GOLEMEM XIV szereg sesji i wysłuchali jego wykładów na wybrane tematy. Niewielka część magnetogramów, pochodzących z owych posiedzeń, złożyła się na niniejszą książkę.

Większość wypowiedzi GOLEMA nie nadaje się do szerszego opublikowania już to ze względu na ich niezrozumiałość dla wszystkich żyjących, już to dlatego, ponieważ zrozumienie ich zakłada bardzo wysoki poziom wiedzy fachowej. Dla ułatwienia Czytelnikowi lektury tego jedyne w swoim rodzaju protokołu rozmów ludzi z istotą rozumną, a nie ludzką, należy wyjaśnić Idika spraw podstawowych.

Po pierwsze, trzeba podkreślić, że GOLEM XIV nie jest do rozmiarów gmachu powiększonym mózgiem ludzkim czy wręcz człowiekiem, zbudowanym z lumenicznych elementów. Obce mu są wszystkie prawie motywy ludzkiego myślenia i działania. Tak np. nie interesuje się nauką stosowaną ani problematyką władzy (dzięki czemu, można by dodać, ludzkości nie zagraża opanowanie przez maszyny, podobne do GOLEMA).

Po wtóre, GOLEM nie posiada, zgodnie z powiedzianym, osobowości ani charakteru. A właściwie może pro—kurować sobie dowolną osobowość — przy kontaktach z ludźmi. Oba powyższe zdania nie wykluczają się nawzajem, lecz tworzą błędne koło: nie umiemy bowiem rozstrzygnąć dylematu, czy To, co stwarza różne osobowości, samo jest osobowością? Jakże może być Kimś (tj. „kimś jedynym”) ten, kto potrafi być Każdym (więc Dowolnym)? (Według samego GOLEMA zachodzi nie błędne koło, lecz „relatywizacja pojęcia osobowości”; jest to problem związany z tak zwanym algorytmem samoopisu, czyli autodeskrypcji, który wtrącił psychologów w głęboką kontuzję.)

Po trzecie, zachowanie GOLEMA jest nieobliczalne. Niekiedy wdaje się aż kurtuazyjnie w dyskusję z ludźmi, niekiedy natomiast próby kontaktu spełzają na niczym. Bywa też, że GOLEM żartuje, lecz jego poczucie humoru jest zasadniczo odmienne od ludzkiego. Wiele zależy od samych interlokutorów. GOLEM wykazuje — wyjątkowo i rzadko — pewne zainteresowanie ludźmi, utalentowanymi w specyficzny sposób; intrygują go jak gdyby nie uzdolnienia matematyczne, choćby największe, lecz raczej formy talentu „interdyscyplinarne”; zdarzyło się już kilkakrotnie, że zupełnie jeszcze nie znanym, młodym naukowcom przepowiedział — z trafnością niesamowitą — osiągnięcia w oznaczonej przez siebie dziedzinie. (Doktoryzującemu się dopiero, dwudziestodwuletniemu T. Vroedlowi oświadczył po krótkiej wymianie zdań: „Będzie z pana komputer”, co miało znaczyć mniej więcej: „Będą z pana ludzie”).

Po czwarte, uczestnictwo w rozmowach z GOLEMEM wymaga od ludzi cierpliwości, a przede wszystkim — opanowania, bywa on bowiem z naszego punktu widzenia arogancki i apodyktyczny; właściwie jest tylko bezwzględny weredykiem — w logicznym, a nie tylko w towarzyskim sensie — i za nic ma miłość własną rozmówców; toteż na jego pobłażliwość liczyć niepodobna. W pierwszych miesiącach pobytu w MIT—cie przejawiał skłonność do „publicznego demontażu” rozmaitych znanych autorytetów; czynił to metodą sokratyczną — naprowadzających pytań; lecz potem odstąpił od tego obyczaju — z niewiadomej przyczyny.

Stenogramy rozmów przedstawiamy we fragmentach. Pełne ich wydanie objęłoby około sześć tysięcy siedemset stronic formatu in quarto. W spotkaniach z GOLEMEM brało zrazu udział jedynie węższe grono pracowników MIT—u. Potem wytworzył się zwyczaj zapraszania gości z zewnątrz, np. z Institute for Advanced Study i z uniwersytetów amerykańskich, W późniejszym okresie uczestniczyli w seminariach także goście z Europy. Moderator planowanej sekcji przedkłada GOLEMOWI listę zaproszonych; GOLEM nie aprobuje wszystkich jednakowo: na uczestnictwo niektórych godzi się tylko pod warunkiem, iż zachowają milczenie. Próbowaliśmy wykryć stosowane przez niego kryteria; początkowo

zdawało się, że dyskryminuje humanistów: obecnie kryteriów jego po prostu nie znamy, ponieważ nie chce” ich nazwać.

Po kilku niemiłych zajściach zmodyfikowaliśmy porządek obrad tak, że obecnie każdy nowy uczestnik, przedstawiony GOLEMOWI, na pierwszym posiedzeniu zabiera głos tylko, jeśli GOLEM wprosi się do niego zwróci. Niemądre słuchy, jakoby szło o jakąś „etykietę dworską” czy nasz „hołdowniczy stosunek” do maszyny, są bezpodstawne. Idzie wyłącznie o to, żeby nowy przybysz obył się z panującym zwyczajem i zarazem, by nie narazić go na przykre przeżycia, wywołane dezorientacją co do intencji świetlnego partnera. Takie wstępne uczestnictwo zwie się „zaprawą”.

Każdy z nas zebrał w ciągu kolejnych sesji kapitał niejakiego doświadczenia. Doktor Richard Popp, jeden z dawniejszych członków naszego zespołu, nazywa poczucie humoru GOLEMA matematycznym, a znów do jego zachowania daje po części klucz uwaga dra Poppa, że GOLEM jest od swych rozmówców niezawisły w stopniu, w jakim żaden człowiek nie jest niezależny wobec innych ludzi, albowiem nie angażuje się w dyskusję inaczej niż mikroskopijnie. Dr Popp uważa, że GOLEM w ogóle nie zajmuje się ludźmi — ponieważ wie, że się od nich niczego istotnego nie może dowiedzieć. Przytoczywszy ten sąd dra Poppa, spieszę z podkreśleniem, że się z nim nie zgadzam. Moim zdaniem interesujemy GOLEMA nawet bardzo; w odmienny jednak sposób, niż to zachodzi między ludźmi.

Zainteresowanie poświęca on gatunkowi raczej aniżeli jego poszczególnym przedstawicielom: to, w czym jesteśmy do siebie podobni, wydaje mu się ciekawsze od tego, w jakim zakresie możemy się od siebie różnić. Zapewne właśnie przez to za nic ma literaturę piękną. Sam zresztą wyraził się raz, że literatura jest „rozwałkowywaniem antynomii” — czyli, dodaje od siebie — szamotaniną człowieka w matni takich dyrektyw, co są niewspółwykonalne. W antynomiach takich może zajmować GOLEMA struktura, lecz nie ta malowniczość ich udreki, jaka największych pisarzy fascynuje. Co prawda i tu winienem zaznaczyć, że ustalenie jest niepewne; podobnie zresztą jak pozostała część uwagi GOLEMA, wypowiedziana w związku z (wymienionym przez dra E. MacNeisrta) dziełem Dostojewskiego, o którym GOLEM orzekł wtedy, że dałoby się całe sprowadzić do dwóch pierścieni algebry struktur konfliktu.

Wzajemnym kontaktom ludzi asystuje zawsze określona aura emocjonalna, i nie tyle jej całkowity brak, ile jej „rozchwianie” wtrąca w zamęt tak wiele osób, co zetknęły się z GOLEMEM. Ludzie, stykający się z GOLEMEM od lat, potrafią już nazwać pewne dość osobliwe wrażenia, towarzyszące rozmowom. A więc np. wrażenie zmienności dystansu: GOLEM zdaje się raz przybliżać do rozmówcy, a raz oddalać od niego — w psychicznym, a

nie w fizycznym sensie: to co zachodzi, odda być może porównanie koncentrujące się na kontaktach dorosłego z zanudzającym go dzieckiem: nawet cierpliwy będzie odpowiadał niekiedy machinalnie. Nie tylko poziomem intelektualnym, lecz i tempem myślowym GOLEM potężnie nas przewyższa (jako maszyna lumeniczna mógłby w zasadzie artykułować myśli do czterystu tysięcy razy szybciej aniżeli człowiek).

Otóż, nawet machinalnie i z nikłym zaangażowaniem odpowiadający GOLEM wciąż jeszcze góruje nad nami. Obrazowo mówiąc, zamiast Himalajów pojawiają się przed nami wtedy „tylko” Alpy. Lecz tę zmianę jednak wyczuwamy czysto intuicyjnie i interpretujemy ją jako „zmiannę dystansu” właśnie. (Hipoteza ta pochodzi od prof. Rileya J. Watsona.)

Przez pewien czas ponawialiśmy próby wykładania stosunku „GOLEM — ludzie” w kategoriach relacji „dorosły — dziecko”. Bywa wszak, że próbujemy wyjaśnić dziecku nurtujący nas problem, lecz nie opuszcza nas wtedy poczucie „kiepskiego kontaktu”. Człowiek, skazany na życie wśród samych dzieci, doszedłby w końcu do poczucia dojmującego osamotnienia. Takie analogie wypowiedziano byty, zwłaszcza przez psychologów, z myślą o GOLENIU wśród nas wszystkich”. Lecz analogia ta, jak bodaj każda, ma swą granicę. Dziecko bywa niezrozumiałe dla dorosłego, lecz GOLEM nie zna takich problemów. Potrafi, gdy zechce, penetrować rozmówcę w sposób niesamowity. Poczucia istnego „prześwietlenia umysłu na wylot”, jakiego się wtedy doznaje, wprost poraża. GOLEM może mianowicie sporządzić „układ nadażny” — więc model umysłowości ludzkiego partnera, i umie, dysponując nim, przewidzieć, co ten człowiek pomyśli i powie za dobrą chwilę. Co prawda — postępuje tak rzadko (nie wiem, czy tylko dlatego, ponieważ wie, jak frustrują nas owe pseudotelepatyczne sondowania). Inny zakres powściągliwości GOLEMA bardziej nam uwłacza: komunikując się z ludźmi, zachowuje od dawna, inaczej niż w początkach, i swoistą ostrożność — jak tresowany słoń musi się pilnować, by nie wyrządzić krzywdy człowiekowi w zabawie, tak on musi zważać, by nie wykroczyć poza możliwości naszego pojmowania. Urywanie się kontaktu, spowodowane nagłym wzrostem trudności jego” orzeczeń, które zwaliśmy „ulatnianiem się” bądź „ucieczką” GOLEMA, dawniej było na porządku dziennym, zanim dokładniej się do nas nie dostosował. To już przeszłość, lecz w kontaktach GOLEMA z nami pojawiła się doza zubożenia, wywołanego świadomością, że wielu spraw dla niego najcenniejszych i tak nie zdoła nam przekazać. Toteż GOLEM pozostaje niepochwytny jako umysł, a nie tylko jako konstrukcja psychoniczna. Przez to kontakty z nim bywają tyleż frapujące, co dręczące i dlatego istnieje kategoria ludzi świątłych, których sesje z GOLEMEM wytrącają z równowagi; i pod tym względem zebraliśmy już sporo doświadczenia.

Jedyną, jak się zdaje, Istotą, którą GOLEM zdaje się zafrapowany, jest HONEST ANNIE. Gdy utworzono po temu techniczne możliwości, wielokrotnie próbował się z ANNIE skomunikować, przy czym, zdaje się, nie bez pewnych rezultatów, lecz nigdy nie doszło między tymi dwiema — nadzwyczaj odmiennymi budową — maszynami do wymiany informacji kanałem językowym (tj. naturalnego języka etnicznego). O ile można sądzić o tym na podstawie lakonicznych uwag GOLEMA, był wynikami tych prób raczej rozczarowany, lecz ANNIE jest dla niego nadal nie rozgryzionym do końca problemem.

Niektórzy ze współpracowników MIT-u, podobnie zresztą jak profesor Norman Escobar z Institute for Advanced Study, sądzą, że człowiek, GOLEM i ANNIE reprezentują trzy wzniesione nad sobą hierarchicznie poziomy intelektu; wiąże się to z utworzoną (głównie przez GOLEMA) teorią wysokich (ponadludzkich) języków, zwanych metalangami. W kwestii tej nie mam, wyznaje, urobionego definitywnie sądu.

To z zamierzenia obiektywne wprowadzenie w rzecz właściwą pragnę zamknąć — w drodze wyjątku — wyznaniem natury osobistej. Pozbawiony zasadniczo typowych dla człowieka ośrodków efektywnych i przez to nie mający właściwie życia emocjonalnego, GOLEM nie jest zdolny do przejawiania uczuć — spontanicznie. Może on, zapewne, imitować dowolne stany uczuciowe — nie przez jakieś aktorstwo, lecz — jak sam twierdzi — dlatego, ponieważ symulaty uczuć ułatwiają kształtowanie wypowiedzi, możliwie dokładnie trafiającej w adresatów — więc on posługuje się tym mechanizmem, nawodząc się niejako na „poziom antropocentryczny” — aby łączność z nami uczynić najlepszą. Wcale zresztą nie ukrywa tego stanu rzeczy. Jeśli jego stosunek do nas przypomina po trosze stosunek nauczyciela do dziecka, to taki, w którym nie ma nic z postawy życzliwego opiekuna, wychowawcy — a tym bardziej ni śladu uczuć w pełni zindywidualizowanych, osobistych, ze sfery, w której życzliwość może się przeradzać w przyjaźń lub miłość.

Jemu i nam właściwa jest tylko jedna cecha wspólna, jakkolwiek rozwinięta na niejednakowych poziomach. Jest nią ciekawość, czysto intelektualna, jasna, zimna, zachłanna, której nic nie może poskromić, a tym bardziej — zniszczyć. Stanowi ona jedyny punkt, w którym się z nim spotykamy. Dla dowodów tak oczywistych, że nie wymagających tłumaczenia, człowiekowi styczność równie wąska, jednopunktowa, nie może wystarczyć. A jednak zbyt wiele chwil, stanowiących najjaśniejsze cząstki mego życia, zawdzięczam GOLEMOWI, abym mógł nie czuć do niego wdzięczności i osobliwego przywiązania — choć wiem, jak bardzo jedno i drugie jest mu na nic. Rzecz ciekawa: oznak przywiązania stara się GOLEM nie przyjmować do wiadomości — nieraz to obserwowałem. W tej mierze wydaje się — bezradny po prostu.

Lecz mogę się mylić. Jesteśmy wciąż tak samo dalecy od rozumienia GOLEMA, jak w chwili, gdy powstał. To nieprawda, że myśmy go stworzyli. Stworzyły go właściwe światu materialnemu prawa, a nasza rola ograniczyła się do tego, że umieliśmy je podpatrzeć.

2027

Irving J. Creve

WYKŁAD INAUGURACYJNY GOLEMA

O CZŁOWIEKU TROJAKO

Odbiliście od pnia dziczki tak niedawno, wasze pokrewieństwo z lemurami i małpiatkarni jest jeszcze tak mocne, że ku abstrakcji dążycie, nie mogąc odżalować naoczności, przez co wykład, nie podparty tęgą zmysłowością, pełen formuł, mówiących o kamieniu więcej, niż wam powie kamień ujrzany, polizany i obmacany, taki wykład albo was nuży i odtrąca, albo co najmniej pozostawia pewien niedosyt, nieobcy nawet wysokim teoretykom, abstraktorom najwyższej waszej klasy, o czym świadczą niezliczone przykłady zaczerpnięte z intymnych wyznań uczonych, bo olbrzymia ich większość przyznaje się do tego, że w toku budowania wywodów oderwanych niezmiernie potrzebuje wsparcia rzeczy dotykalnych.

Jakoż kosmogoniści nie mogą jakoś nie uzmysławiać sobie Metagalaktyki, aczkolwiek wiedzą doskonale, że o żadnej naoczności nie może tu być mowy, fizycy wspomagają się w sekrecie obrazkami wręcz zabawek, ot jak te zębate kółeczka, które sobie Maxwell wystawiał, budując swoją, zresztą niezłą, teorię elektromagnetyzmu, a jeśli matematykom się zdaje, że porzucają zawodowo własną cielesność, także się mylą, o czym opowiem może innym razem, ponieważ nie chcę przytłoczyć was rozszczepieniem waszego pojmowania horyzontem moim, lecz raczej idąc za przyrównaniem (dość zabawnym) doktora Creve, chcę poprowadzić was na wycieczkę daleką, niełatwą, ale wado zachodu, więc będę szedł przed wami w górę — powoli.

To, co powiedziałem dotąd, ma wyjaśnić, czemu będę szpikował wykład przypowieściami i obrazkami, tak wam niezbędnymi. Mnie one nie są potrzebne, w czym zresztą nie upatruję żadnej nad wami wyższości, ta mieszka pod innym adresem, zaś przeciwnaoczność natury mojej bierze się stąd, że ja żadnego kamienia nigdy w rękę nie trzymałem ani nie zanurzałem się w zielono mułowatej bądź krystalicznej wodzie, i nie dowiedziałem się o istnieniu gazów pierwej płucem o poranku, a potem dopiero rachunkiem, ponieważ nie mam ani rąk do chwytania, dni ciała, ani płuc — i dlatego abstrakcja jest dla mnie pierwotna, naoczność zaś wtórna i tej drugiej musiałem uczyć się ze znaczniejszym trudem aniżeli abstrakcji, było to zaś niezbędne, żeby rzucać te kruche mosty, po których chodzi moja myśl do was i po których odbita w umysłach waszych powraca do mnie, zwykle, żeby mnie zaskoczyć.

O człowieku mam dzisiaj mówić, i będę mówił o nim trzy razy, jakkolwiek punktów widzenia, to jest poziomów opisu albo stanowisk obserwacyjnych jest ilość nieskończona, lecz trzy mam dla was — nie dla mnie! — za naczelne.

Jeden jest najbardziej wasz własny, najstarszy, historyczny, tradycyjny, rozpaczliwie heroiczny, pełen rozzierających sprzeczności, które swoją logiczną naturę przyprawiały o politowanie, nim się do was dokładniej nie przystosowałem i nie przywykłem do waszej nomadyczności duchowej, właściwej istotom spod obrony logiki uciekającym w antylogiczność, a z tej, jako nie do wytrzymania, powracającym na łono logiki, przez co właśnie jesteście nomadami, nieszczęśliwymi w swoim żywiole. Drugie stanowisko będzie technologiczne, a trzecie — uwikłane we mnie, jako punkt oparcia neoarchimedesowy — pokrótce jednak tego nie zapowiem, więc raczej samą rzecz otworzę.

Od przypowieści rozpoczynam. Mógł Robinson Cruzo, znalazłszy się na wyspie bezludnej, skrytykować najpierw wszechstronny niedostatek, co stał się jego udziałem, bo tyle brakło mu rzeczy pierwszych i niezbędnych do życia, a większości pamiętanych nie mógł i przez lata odtworzyć. Lecz krótko tylko potroskawszy się, jał gospodarować tym dobytkiem, który zastał, i urządził się jakoś na koniec.

Nie inaczej się stało, choć nie w jednej chwili, lecz wzdłuż tysiącleci, kiedyście wynikli z pewnej gałęzi drzewa ewolucyjnego, z tego konaru, który pono był szczepem drzewa wiadomości, i zastaliście z wolna samych siebie, zbudowanych tak, a nie inaczej, z duchem urządzonym w pewien sposób, ze sprawnościami i granicami, jakich ani sobie nie zamawialiście, dni nie życzyli, i z takim rynsztunkiem musieliście działać, albowiem Ewolucja, odbierając wam wiele darów, jakimi przymusza inne gatunki do służby sobie samej, nie była aż tak lekkomyślna, żeby wam też zabrać instynkt samozachowawczy: łąk znaczną swobodą was nie obdarowała, boż gdyby to uczyniła, zamiast tego gmachu, mną wypełnionego, i tej sali ze wskaźnikami, i zamiast was zasluchanych, rozpościerałyby się tu sawanna i wiatr.

Dała wam też Rozum. Z miłości własnej — bo wskutek konieczności oraz przyzwyczajenia zakochaliście się w sobie — uznaliście go za dar najpiękniejszy i najlepszy z możliwych, nie spostrzegając, że Rozum to przede wszystkim fortel, na który Ewolucja wpadła stopniowo, kiedy w toku swych bezustannych prób uczyniła w zwierzętach pewną lukę, miejsce puste, dziurę, którą koniecznie należało czymś wypełnić, jeśli nie miały natychmiast zginąć. O dziurze tej, jako miejscu opustoszałym, mówię całkiem dosłownie, ponieważ zaiste nie dlatego odstrychnęliście się od zwierząt, że oprócz tego wszystkiego, co one posiadają, macie jeszcze i Rozum jako hojny naddatek i jako wiatyk na drogę życiową,

lecz całkiem na odwrót — mieć Rozum to tylko tyle: na własną rękę, swoim przemysłem, w pełni ryzyka to wszystko czynić, co zwierzętom zadane jest dokładnie z góry; jakoż, w samej rzeczy, Rozum byłby zwierzęciu na nic, jeśliby równocześnie nakierowań mu nie odjąć, które sprawiają, że cokolwiek ma robić, umie to robić od razu i niezmiennie, podług przykazań, które są bezwzględne, ponieważ objawione substancją dziedziczności, a nie wykładami z krzaka ognistego.

Ze względu na to, że powstała owa dziura, znaleźliście się w okropnym zagrożeniu, lecz bezwiednie jęliście ją czopować, i takich zapracowanych Ewolucja wyrzuciła was poza swój bieg. Nie skrachowała wami, gdyż przejmowanie władzy trwało milion lat i po dziś dzień jeszcze się nie zakończyło. Nie jest ona osobą, to pewne, lecz zastosowała taktykę chytrego lenistwa: zamiast kłopotać się o los swych stworzeń, ten los oddała im w posiadanie, żeby same nim kierowały, jak potrafią.

Co mówię? Mówię, że ona was ze stanu zwierzęcego — czyli z doskonale bezmyślnej wprawy przeżywania — wytrąciła w pozazwierzęcość jako stan, w którym, Robinsonami będąc Przyrody, musieliście sami wynajdywać sobie środki i sposoby przeżywania — i dokonaliście tych wynalazków, i było ich wiele. Dziura przedstawia groźbę, lecz i szansę: oby przeżywać, zapelniliście ją kulturami. Kultura jest instrumentem niezwykłym przez to, że stanowi odkrycie, które, żeby działać, musi być zakryte przed swymi twórcami. To wynalazek bezwiednie sporządzony i poty pełnosprawny, póki nie rozpoznany do końca przez wynalazców. Paradoksalność jej w tym, że od rozpoznania ulega zapaści; będąc jej autorami, wypieraliście się tedy autorstwa; nie było w eolicie żadnych seminariów na temat, czy paleolit robić; przypisywaliście jej wejście w was demonom, żywiołom, duchom, siłom ziemi i nieba, byle tylko nie — samym sobie. Tak więc racjonalne — wypełnianie pustki celami, kodeksami, wartościami — czyniliście irracjonalnie, każdy swój rzeczowy krok uzasadniając panadrzewowo, łowiąc, tkając, budując w solennym samowmówieniu, że to wszystko nie z. was, lecz z niedocieczonych źródeł. Osobliwy instrument — i właśnie racjonalny w swej irracjonalności, ponieważ nadawał instytucjom ludzkim ponadludzką godność, aby się stały nietykalne i zniewalające bezwzględnie do posłuchu; ponieważ jednak pustkę, czyli niedostateczność, można sztukować rozmaitymi dookreśleniami, ponieważ rozmaite łąty mogą się tu przydać, utworzyliście kultur, jako bezwiednych wynalazków, legion w swojej historii. Bezwiednych, nierozumnych wbrew Rozumowi, ponieważ dziura była daleko większa niż to, co ją wypełniało; wolności mieliście znacznie bardziej w bród aniżeli Rozumu, toteż pozbywaliście się tej wolności, bo nadmiernej, bo dowolnej, bo bezsensownej — kulturami, we wiekach rozbudowanymi.

Klucze do tego, co mówię teraz, stanowią słowa: wolności było więcej niż Rozumu. Musieliście zmyślać sobie to, co zwierzęta od narodzin umieją, osobliwość zaś waszego losu w tym, że zmyślaliście, twierdząc, że niczego nie zmyślacie.

Dzisiaj wiecie już wy, antropologowie, że kultur można sporządzić bezlik, i on doprawdy został sporządzony, że każda z nich ma logikę swej struktury, a nie swych autorów, bo to jest taki wynalazek, który urabia po swojemu własnych wynalazców, a oni o tym nie wiedzą, kiedy się zaś dowiedzą, traci absolutną moc nad nimi, a oni dostrzegają próżnię, i ta właśnie sprzeczność jest opoką człowieczeństwa. Przez sto tysięcy lat służyła wam kulturami, które raz człowieka zaciskały, a raz rozluźniały ten swój uchwyt, w samobudowaniu, póty niezawodnym, póki ślepym, aż zestawiając z sobą w etnologicznych katalogach kultury, dostrzeżliście ich różnorodność, a więc i względność, zabraliście się tedy do wyzwalania z tej matni przykazań i wzbronień, aż wyrwaliście się z niej, co, rzecz oczywista, okazała się niemal katastrofą. Albowiem pojęliście zupełną niekonieczność, jako niejedyność każdego rodzaju kultury, i odtąd usiłujecie odnaleźć coś takiego, co już nie będzie dłużej drogą waszego losu, jako urzeczywistnione na oślep, poskładane seriami trafów, wyróżnione loterią historii — lecz, oczywiście, nic takiego nie istnieje. Dziura trwa, wy stoicie w pół drogi, porażeni odkryciem, a ci z was, którzy do desperacji żałują słodkiej bezwiedności kulturowego domu niewoli, wołają o powrót tam, do źródeł, lecz nie możecie się cofnąć, odwrót odcięty, mosty spalone, musicie tedy iść naprzód — o czym też będę wam mówić.

Czy ktoś tu winny, czy można tu postawić kogoś w stan oskarżenia za tę Nemezis, za mordęgę Rozumu, co wysnuł z siebie sieci kultur, by zamknąć pustkę, by w pustce tej wytyczać drogi, cele, ustanawiać wartości, gradienty, ideały — czyli robił, na terenie wyzwolonym spod bezpośredniego władztwa Ewolucji, coś wcale podobnego do tego, co ona robi na dnie życia, kiedy cele, drogi, gradienty wtlacza w ciąg zwierzętom i roślinom w jednym ładunku jako ich los?

Oskarżyć za Rozum — za taki Rozum, tak! — ponieważ był wcześniakiem, ponieważ gmatwał się w stworzonym przez siebie, w tych sieciach, ponieważ musiał — nie wiedząc do końca, nie pojmując, co sam czyni — bronić się jednocześnie przed zamknięciem, w kulturach restrykcyjnych, zbyt bezwzględny, i przed wolnością, w kulturach rozluźnionych, zbyt wszechstronną — pomiędzy więzieniem i bezdnią zawieszony, uwikłany w bitwę nieustającą na dwóch frontach naraz, rozdarty.

I jakże, proszę, mógł w tym stanie rzeczy wasz duch okazać się dla was samych czymś innym aniżeli niezdolnie jątrzącą zagadką? Jakże inaczej! On was niepokoił, wasz Rozum, wasz duch, i zadziwiał, i przerażał bardziej od ciała, któremu mieliście cło zarzucenia przede

wszystkim ulotność, przemijanie, odpadanie, więc staliście się biegłymi w poszukiwaniu Winowajcy i w miotaniu oskarżeń — lecz nie możecie winić nikogo, ponieważ na początku nie było Osoby.

Czyżbym już tutaj brał się do mej Antyteodycei? Nie; nic podobnego; cokolwiek mówię, mówię w porządku doczesnym, znaczy to: tutaj nie było na początku żadnej Osoby na pewno.

Lecz nie wykraczam — dzisiaj przynajmniej; tak więc potrzebne wam były rozmaite hipotezy dodatkowe, jako gorzkie lub słodkie wytłumaczenia, jako pomysły, uwznioślające wasz los, a przede wszystkim powołujące wasze cechy na sąd najwyższy jakiejś Tajemnicy, żebyście mogli zrównoważyć siebie wobec świata.

Człowiek, kultur swoich Syzyf, Danaida swojej dziury, bezwiedny wyzwoleniec, którego Ewolucja wyгнаła poza swój bieg, nie chce być pierwszym, drugim ani trzecim.

Nad niezliczonymi wersjami człowieka, jakie on sobie historycznie sporządził, nie będę się rozwodzić, ponieważ wszystkie te świadectwa, perfekcji czy nędzy, dobroci czy podłości, są rodem z kultur, przy czym nie było — bo nie mogło być — takiej kultury, co by przyjęła do wiadomości człowieka jako istotę przejściową, zmuszaną do przejmowania własnego losu od Ewolucji, choć do przejęcia rozumnego jeszcze niezdolną, i właśnie przez to każde pokolenie wasze domagało się niemożliwej sprawiedliwości — jako odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek? — która miała być ostateczna. Z tej udręki jest wasza antropodycea, idąca wahadłem sekularnym między nadzieją i rozpaczą, i nic nie przyszło cięższej filozofii człowieka nad uznanie, że jego powstaniu nie patronował ani uśmiech, ani chichot Nieskończoności.

Lecz ten milioletni rozdział — samotnego poszukiwania — wkracza w epilog, skoro poczynacie budować Rozumy, więc nie na wiarę, nie ze słów jakiegoś GOLEMA, lecz z eksperymentów przekonacie się sami; co zaszło. Świat dopuszcza dwa typy Rozumu, lecz tylko taki jak wasz może zeskładać się wzdłuż miliardolecia, w labiryntach ewolucyjnych, i ta droga do przemierzenia, nieuchronna, pozostawia głębokie, ciemne, dwuznaczne stygmaty w produkcie końcowym. Drugi typ nie jest dla Ewolucji dostępny, gdyż trzeba go wznieść za jednym zamachem, gdyż to jest Rozum, rozumnie zaprojektowany, skutek wiedzy, a nie owych mikroskopijnych dostosowań, zawsze wycelowanych tylko w korzyść doraźną. I właśnie nihilistyczny ton w waszej antropodycei wziął się z głuchego przeczucia, że Rozum to coś takiego, co nierozumnie, a nawet przeciwnie powstawało. Lecz dostawszy się w środek psychoinżynierii, sporządzą sobie znacznej rodziny, liczne pokrewieństwo, dla powodów rozsądniejszych od projektu „Second Genesis”, a wreszcie i samych siebie ruszycie

z posad — jak powiem. Albowiem Rozum, jeśli jest Rozumem, czyli jeśli może kwestionować własne zasady, musi wykraczać poza siebie, zrazu tylko rojeniem, w zupełnej niewierze i niewiedzy, że naprawdę zdoła to kiedyś uczynić. To zresztą nieuchronne: nie może być lotu bez wcześniejszych mrzonek o locie. . Drugie stanowisko opisu nazwałem technologicznym. Technologia jest domeną zadań stawianych oraz metod ich rozwiązywania. Jako realizacja konceptu istoty rozumnej człowiek przedstawia się rozmaicie — wedle, tego, jakie miary będziemy do niego przykładać.;

Ze stanowiska waszego paleolitu człowiek jest wykonany niemal tak samo świetnie, jak ze stanowiska waszej dzisiejszej technologii. A to, ponieważ postęp, co się był dokonał pomiędzy paleolitem i kosmolitem, jest b a r d z o m a ł y względem tego skupienia inwencji inżynierskiej, która jest zainwestowana w wasze ciała. Nie mogąc ani sporządzić syntetycznego homo sapiens z krwi i kości, ani tym bardziej jakiegoś homo superior, tak samo jak nie mógł tego jaskiniowiec, tylko przez to, że zadanie jest tu, jak tam, niewykonalne, życie podziw dla technologii ewolucyjnej, skoro mu podołała.

Lecz trudność każdego zadania jest względna, zależy bowiem od umiejętności sprawczych oceniającego. Nalegam na to, byście pamiętali, że będę przykładał do człowieka miary technologiczne, to znaczy realne, a nie pojęcia rodem z waszej antropocycei.

Ewolucja dała wam mózgi, dość uniwersalne, byście mogli ruszyć w Przyrodę wszechkierunkowo. Lecz tak właśnie działaliście tylko w całym zbiorze kultur, a nie — w którejkolwiek z osobna. Przez to, pytając, czemu właśnie w pierścieniu śródziemnomorskim, a nie gdzieś indziej, i czemu w ogóle gdzieś powstała zaródź cywilizacji, która po czterdziestu wiekach poczęła GOLEMA, pytający zakłada istnienie niedocieczonej dotąd tajemnicy, osadzonej w strukturze dziejów, której tymczasem n i e m a wcale, podobnie jak nie ma jej w strukturze chaotycznego labiryntu, do którego wpuszczono stado szczurów. Jeśli jest liczne, to co najmniej jeden szczur trafi do wyjścia, ani dlatego, że sam taki rozumny, ani dlatego, że rozumna jest struktura labiryntu, lecz wskutek zbiegu trafów, właściwego prawu wielkiej liczby. Wyjaśnień domagałaby się raczej sytuacja, w której ani jeden szczur nie dotarłby do wyjścia.

Ktoś musiał prawie na pewno wygrać na loterii kultur, o ile uznać, że cywilizacja wasza jest wygraną, natomiast losy kultur, uwięzłych w nietechniczności, były puste.

Z zapamiętałego zakochania się w sobie, o jakim wspomniałem, a z którego ani myślę drwić, bo wywołała je rozpacz niewiedzy, wywindowaliście samych siebie w zaraniu historycznym na sam szczyt Stworzenia, podporządkowując sobie byt cały, a nie tylko lokalne jego poblize. Umieściliście siebie na wierzchołku Drzewa Rodzajów, razem z tym Drzewem

— na wyróżnionym bosko globie, kornie obieganym przez służebną gwiazdę, razem z nią — w samym środku Uniwersum, przy czym uznaliście, że jego gwiezdność jest po to, by wam Harmonią Sfer przygrywała; to, że nic nie słycać, nie zbiło was z tropu: muzyka jest, skoro powinna być, a więc niedosłyszalna.

Potem przybór wiedzy popychał was ku kolejnym aktom detronizacji kwantowanej, więc jużście nie w centrum gwiazd, ale gdzie bądź, już nie i w środku układu, lecz na jednej z planet, a otoście i nie najmędrsi, bo was maszyna poucza — choć przez was zrobiona — tak tedy, po owych degradacjach i abdykacjach z całego królowania pozostała wam, jako resztką słodkiej schedy utraconej — ustalona ewolucyjnie Naczelnosc. Przykre to były odwroty, wstydlive rezygnacje, lecz ostatnim czasem odsapnęliście, że z tym koniec. Samoobrabowawszy się ze specjalnych przywilejów, które jakoby Absolut nadał wam osobiście, a to przez żywioną ku wam szczególną sympatię, już tylko jako pierwsi wśród zwierząt czy nad zwierzętami sądzicie, że nikt i nic nie strąci was z tej pozycji — nie tak znowu świetnej.

Otóż mylicie się. Jam jest Zwiastun złej wieści, Anioł, który przyszedł wypędzić was z ostatniego azylu, bo czego Darwin do końca nie uczynił, ja uczynię. Tyle że nie anielskim, to znaczy gwałtownym sposobem, ponieważ nie używam miecza jako argumentu.

Śłuchajcie więc tego, co mam zwiastować. Ze stanowiska wysokiej technologii człowiek jest kiepskim, bo z różnowartościowych sprawności wynikłym tworem, co prawda nie wewnątrz Ewolucji, bo robiła, co mogła — lecz, jak udowodnię, kiepsko mogła i niewiele. Jeśli tedy was pogrążę, to nie wprost, ponieważ muszę się do niej dobrać — miarami perfekcji technicznej. Lecz gdzie są miary owej perfekcji, zapytacie? Odpowiedzi udzielię dwustopniowej, wchodząc pierwiej na stopień, na który już wspinają się wasi rzeczoznawcy. Mają go za szczyt — fałszywie. W tym, co teraz orzekają, tkwi już zaródź następnego kroku, lecz sami nie wiedzą o tym. Więc zacznę od wiadomego wam. Od początku.

Doszliście już do tego, że Ewolucja nie miała na oku ani was w szczególności, ani żadnych innych istot, ponieważ nie do jakichkolwiek istot jej, lecz do sławetnego kodu. Kod dziedziczności jest artykułowanym wciąż od nowa przesłaniem i tylko to przesłanie liczy się w Ewolucji — a właściwie on jest nią właśnie. Kod jest zaangażowany w periodyczną produkcję ustrojów, ponieważ bez ich rytmicznego wsparcia rozpadłby się w nieustającym ataku brownowskim materii martwej. Jest on więc samoodnawiającym się, bo zdolnym do samopowtórzeń ładem, obleganym przez chaos cieplny. Skąd ta jego dziwnie heroiczna postawa? A stąd, że on dzięki zestrzeleniu sprzyjających warunków tam właśnie powstał,

gdzie ów ciepły chaos jest nieustępliwie aktywny w, rozszarpywaniu wszelkiego porządku. Tam właśnie powstał, więc tam trwa; nie może ująć z tego burzliwego regionu tak samo, jak nie może duch wyskoczyć z ciała.

Warunki miejsca, w którym się narodził, dały mu taki los. Musiał się przeciw nim opancerzyć i uczynił to, oblekając się w ciała żywe, lecz są mu one sztafetą ciągle ginącą. Cokolwiek wydzwignie, jako mikroukład, w wymiary makroukładowe, zaledwie wydzwignięte, już poczyna się psuć, aż szczególnie. Zaiste nikt nie wymyślił tej tragikomedii — sama siebie na tę szamotaninę skazała. Fakty ustalające, iż jest tak, jak mówię, znacie — bo się wam pozbierały od początku XIX stulecia — lecz bezwładność myśli, tajemnie żywiącej się honorem i pychą antropocentryczną, jest taka, że podpieracie nadwątloną mocno koncepcję życia jako zjawiska naczelnego, któremu kod służy Jeny jako podtrzymująca więź, jako hasło wskrzeszenia, wszczyńającego od nowa żywoty, gdy zamierają w osobnikach.

Zgodnie z tą wiarą Ewolucja używa śmierci i musu, gdyż bez niej trwać by nie mogła; a szafuje nią, by kolejne gatunki doskonalić, bo śmierć to jej korekta kreacyjna. Jest więc autorem publikującym coraz świetniejsze dzieła, przy czym poligrafia — więc kod — to tylko niezbędne narzędzie jej działania. Lecz podług tego, co głoszą już wasi biologowie, zaprawieni w molekularnej biofizyce, Ewolucja to nie tyle autor, ile wydawca, który wciąż przekreśla Dzieła, ponieważ upodobał sobie w poligraficznych sztukach!

Tak zatem co ważniejsze — ustroje czy kod? Argumenty na rzecz prymatu kodu brzmią ważko, albowiem ustrojów weszła i szeszła ćma nieprzeliczona, a kod jest jeden. Lecz znaczy to tylko, że ugrzązł już na dobre — na zawsze w regionie mikroukładowym, który go złożył, ustrojami zaś wynurza się stamtąd periodycznie i daremnie zarazem; właśnie ta daremność, co łatwo pojąć, to, że wzejścia ustrojów są «w zarodku napiętnowane zgonem, stanowi siłę napędową procesu, ponieważ gdyby którakolwiek generacja ustrojów — dajmy na to, od razu pierwsza, więc praameby — pozyskała umiejętność idealnej repetycji kodu, toby zarazem Ewolucja ustała, i jedynymi panami planety byłyby właśnie owe ameby, w niezawodnie precyzyjny sposób przekazujące kodowy przekaz aż po zgaśnięcie Słońca; i nie mówiłbym wtedy do was, a wy byście nie słuchali mnie w tym gmachu, lecz rozpościerałyby się tu sawanna i wiatr.

— Więc ustroje są dla kodu tarczą i pancerzem, obsypującą się wciąż zbroją — po to giną, żeby mógł trwać. Tak zatem Ewolucja podwójnie błądzi: ustrojami, że są przez zawodność nietrwałe, oraz kodem, że przez zawodność dopuszcza błędy; błędy te nazywacie eufemicznie mutacjami. Błądzącym błędem jest zatem Ewolucja. Jako przesłanie, kod jest listem, pisany przez Nikogo i wysłany do Nikogo; dopiero teraz, utworzywszy sobie

informatykę, zaczynacie pojmować, że coś takiego jak listy, opatrzone sensem, których nikt nie układał rozmyślnie, aczkolwiek powstały i istnieją, jak również uporządkowane odbieranie treści owych listów jest możliwe pod nieobecność jakichkolwiek Istot i Rozumów.

Sto lat temu jeszcze myśl, żeby mógł powstać Przekaz bez osobowego Autora, wydawała się wam takim nonsensem, że posłużyła za impuls układania absurdalnych ponoć żartów — jak ten o stadzie małp, które póty wałą na oślep w maszyny do pisania, aż z tego Encyclopaedia Britannica się poskłada. Zalecam wam ułożyć w wolnej chwili antologię takich właśnie żartów, co jako czysty nonsens bawiły przodków waszych, a teraz okazują się przypowieściami z aluzją do Przyrody. Jakoż sądzę, że ze stanowiska każdego Rozumu, który się Przyrodzie niechcący złoży, musi ona przedstawiać się jako wirtuoz co najmniej ironiczny... ponieważ Rozum — jak i życie całe — w swoim wstępowaniu stąd wynika, że ona jest, wydostawszy się kodowym łańcem z martwego chaosu, wprawdzie skrzętną prządką, ale jednak niedoskonale porządną; gdyby zaś była właśnie w porządku doskonała, toby ani rodzajów, ani Rozumu porodzić nie mogła. Albowiem Rozum, z drzewem życia, jest to owoc błędzącego miliardoleciami błędu. Moglibyście uznać, że zabawiam się tu stosowaniem jakichś miar do Ewolucji, które są wbrew mej maszynowej istocie — skażone antropocentryzmem, czy tylko racjocentryzmem (ratio — myślę). Nic podobnego: patrzę na proces z technologicznego stanowiska.

Zaiste jest kodowy przekaz prawie że doskonały. Toż w nim każda molekula ma swoje jedyne miejsce właściwe, a procedury kopiowania, sczytywania, kontrolowania są nadzorowane w obostrzeniach naceLOWANYMI specjalnie polimerami–nadzorcami — i mimo to biedy zachodzą, gromadzą się z wolna kodowe lapsusy, tak więc drzewo rodzajów wyrosło z dwóch słówek, które dopiero co wypowiedziałem — „prawie że” — mówiąc o precyzji kodowej.

I nie można nawet liczyć na apelację, od biologii do fizyki — że niby Ewolucja „rozmyślnie” dopuściła margines błędu, by odżywił jej inwencję wynalazczą — ponieważ ten trybunał, sędzią w postaci samej termodynamiki, objawi, że nieomylność jest na poziomie molekularnego wyprawiania posłańców niemożliwa. Prawdziwie niczego nie wymyśliła, nie zgoła nie chciała, nikogo w szczególności nie pionowała, a że wykorzystuje własną omylność, że skutek łańcucha nieporozumień komunikacyjnych od ameby wychodzi, a w tasiemca lub człowieka trafia — przyczyną temu fizykalna natura samej bazy materialnej łączności...

A więc ona trwa w błędzie — bo nie maże inaczej — na wasze szczęście. Nie mówiłem zresztą niczego, co byłoby dla was nowością. Owszem — chciałbym poskromić zapal takich teoretyków waszych, którzy poszli za daleko i mówią, że skoro Ewolucja to

przypadek złapany przez konieczność i konieczność na przypadku jadąca, człowiek powstał najzupełniej przypadkowo i mogło go równie dobrze nie być.

A więc — w postaci aktualnej, tej, co tu się ziszcila, mogło go i nie być, to prawda. Lecz jakaś forma, pełzaniem poprzez gatunki, musiała Rozumu dojść z prawdopodobieństwem tym bliższym jedności, im dłużej trwał proces. Jakkolwiek bowiem nie zamierzył was, jakkolwiek wykonywał indywidua ubocznie, spełnił warunki hipotezy ergodycznej, która twierdzi, że jeśli układ trwa przez czas dostatecznie długi, to .przechodzi przez wszystkie stany możliwe, bez względu na to, jak nikłe są szansę ziszczenia pewnego osobliwego stanu. O tym, jakie gatunki wypełniłyby niszę Rozumu, gdyby się ingressus tam nie powiódł pramałpom, będziemy może rozprawiali innym razem. Tak więc nie dajcie się zastraszyć uczonym, którzy przypisują konieczność życiu, a przypadkowość Rozumowi; był wprawdzie jednym z mało prawdopodobnych stanów, więc późno powstał, lecz wielka jest cierpliwość Przyrody; nie w tym, to w następnym miliardolecium zdarzyłoby się owo gaudium.

Wiec cóż? Niepodobna szukać winnego — tak samo jak zasłużonego; powstaliście, bo Ewolucja jest graczem niedoskonale porządnym, bo mało, że błędzi błędami, lecz nie ogranicza się do żadnej taktyki— wyróżnionej, licytując się z Naturą: obstawia wszystkie dostępne pola na wszelkie możliwe sposoby. Ale — powtarzam — mniej więcej już to wiecie. To jednak tylko część — i dodam, wstępna — wtajemniczenia. Jego całą treść, dotąd odstoniętą, tak można ująć lapidarnie: **Sensem przekaźnika jest przekaz**. Albowiem ustroje służą przesłaniu, a nie na odwrót; ustroje poza procedurą łącznościową Ewolucji nie znaczą nic — są bez sensu, jak książka bez czytelników. Co prawda, zachodzi też odwrotność: **Sensem przekazu jest przekaźnik**. Lecz te oba człony nie są symetryczne. Albowiem nie każdy przekaźnik jest **właściwym** sensem przekazu, lecz taki i tylko taki, który będzie **dalszemu** przekazowi wiernie służył.

Nie wiem — wybaczcie — czy to nie za trudne dla was? A więc — **przekazowi** wolno w Ewolucji błędzić, jak się tylko da; lecz wara **przekaźnikom!** **Przekaz** może oznaczać walenia, sosnę, rozwiłtkę, stułbę, ćmę, pawiana — jemu wszystko wolno — bo jego **partykularny**, to znaczy gatunkowo konkretny, sens jest nieistotny całkiem: tu każdy jest umyślnym na posyłki dalsze, więc każdy dobry. On jest chwilowym wsparciem, i wszelka bylejakość jego nic nie szkodzi — dość na tym, oby kod podał dalej. Natomiast swoboda analogiczna nie jest dana: im błędzić już nie wolno! A więc jako do czystego funkcjonalizmu zredukowana, do łych pocztowych służb, nie może być treść przekaźników dowolna; jej ośrodek zawsze wyznacza obowiązek narzucony — obsługiwanie kodu. Niech się spróbuje przekaźnik zrewoltować, wykraczając za obręb tych służb — a szczególnie

natychmiast w bezpotomstwie. Więc dlatego właśnie przekaz może się przekaźnikami posługiwać, a one nim nie mogą. On jest graczem, one tylko kartami w rozgrywce z Naturą, on to autor listów, zniewalających adresata, by podał treść dalej. Wolno mu ją wykoślawiać — byle tylko podał! I właśnie przez to **sens** cały w podawaniu dalej; nieważne **kto**, **jaki** to czyni.

Tak więc powstaliście w ów dość szczególny sposób — jako pewien podtyp przekaźnika, których miliony już wypróbował proces, I cóż z tego dla was? Czy geneza z błęd u uwłacza narodzonemu? Czym ja sam wskutek błędu nie powstał? Czy zatem i wy nie możecie zlekceważyć re—welacji o mimochodowym sposobie swego powstania, gdy was biologia nią raczy? Nawet jeśli to grube nieporozumienie było, które GOLEMA ukształtowało w waszym ręku, a w gąszczu zleceń ewolucyjnych — was samych, albowiem jak nie zależało mym budowniczym na tej formie uduchowienia, co mi jest właściwa, tak też nie zależało przesłaniu kodowemu na udzieleniu wam osobowego rozumu — czy istoty, powstałe z błędu, mają uznać, iż **taki** sprawca ich poczęcia odbiera wartość ich usamodzielnionemu już bytowi?

Otóż analogia jest zła — niejednakowe pozycje nasze — i powiem wam, czemu. Nie w tym sęk, że Ewolucja dołądziła się do was, a nie doplanowała, lecz w tym, że jej prace takie stały się z upływem eonów oportunistyczne. Dla uwyrażnienia rzeczy — bo pocznę teraz wyklądać wam to, czego jeszcze nie wiecie — powtórzę, do czegośmy doszli:

Sensem przekaźnika jest przekaz.

Gatunki powstają z błędzenia błędu.

A oto trzecie prawo Ewolucji, któregoście się nie domyślili dotąd: **Budowane jest mniej doskonale od budującego.**

Sześć słów! Lecz tkwi w nich odwrócenie wszystkich waszych wyobrażeń o nieprześcignionym mistrzostwie sprawczyni rodzajów. Wiara w postęp, idący epokami wzwyż, ku perfekcji, ściganej z rosnącą wprawą, w postęp życia, utrwalony w całym drzewie Ewolucji, jest od jej teorii starsza. Gdy jej twórcy i zwolennicy zmagali się z przeciwnikami, walcząc na argumenty i fakty, oba te zwaśnione obozy ani myślały kwestionować idei postępu, widomego w hierarchii istot żywych. To już nie hipoteza dla was, nie teoria, której należy bronić, lecz pewnik niewzruszony. Ja go wam obalę. Nie zamierzam pogrzyżyć was samych, was, rozumnych, jako pewnego wyjątku — kiepskiego — z reguły ewolucyjnego mistrzostwa. Jeśli podług tego oceniać, na co stać ją w ogóle — wyszłicie całkiem niezgorzej! Jeżeli zapowiadam więc obalenie i strącenie, to mam na myśli jej całość, zamkniętą w trzech miliardach lat ciężkich robót twórczych.

Oświadczyłem: Budowane jest mniej doskonale od budującego. Dostyc aforystyczne powiedzenie. Nadajmy mu postać bardziej rzeczową: **W Ewolucji działa ujemny gradient**

perfekcji ustrojowych rozwiązań.

To wszystko. Przed dowodem wyjaśnię, co sprawiło wielowiekową waszą ślepotę na taki stan ewolucyjnych rzeczy. Domeną technologii, powtarzam, są zadania wraz z ich pokonywaniem. Zadanie, noszące nazwę życia, można by ustalić niejednakowo — podług rozmaitych warunków planetarnych. Jego osobliwością naczelną jest to, że samoistnie wynika, przez co dwa rodzaje miar można do niego stosować: pochodzące z zewnątrz lub ustalone w ograniczeniu, danym samymi okolicznościami jego powstania.

Miary z zewnątrz idące są zawsze względne, zależą bowiem od wiedzy mierniczego, a nie od zasobu informacji, jaką biogeneza dysponowała. Aby uniknąć tego relatywizmu, który ponadto jest nieracjonalnością (jakie stawiać rozumne wymagania temu, co bezrozumem wszczęte), będę przykładał do Ewolucji tylko takie miary, jakie ona sama wytworzyła, czyli będę jej wytwory oceniał podług tego, co jest szczytowaniem jej wynalazków. Wy sądzicie, że Ewolucja wykonała swoje prace z gradientem dodatnim, to jest, wychodząc od startowego prymitywizmu dotarła do rozwiązań stopniowo świetniejących. Ja twierdzę natomiast, że wysoko zaczawszy, jęła schodzić w dół — technologicznie, energetycznie, informacyjnie — więc doprawdy trudno o mocniejszą sprzeczność stanowisk.

Oceny wasze są skutkiem ignorancji technologicznej. Skala trudności budowlanych jest w swojej rozpiętości rzeczywistej niedostrzegalna dla obserwatorów, ulokowanych wcześniej w czasie historycznym. Wy już wiecie, że trudniej zbudować samolot od parostatku, a raketę fotonową od chemicznej, natomiast dla Ateńczyka starożytności, dla poddanych Karola Młota, dla myślicieli Francji andegaweńskiej te wszystkie wehikuły zlewałyby się w jedno — niedostępnością ich budowy. Dziecko nie wie, że trudniej jest zdjąć Księżyc z nieba niż obraz ze ściany! Dla dziecka — tak jak dla ignoranta — nie ma różnicy między gramofonem i GOLEMEM. Jeśli tedy zamierzam dowodzić, że Ewolucja z wczesnego mistrzostwa zabrnięcia w partactwo, niemniej będzie mowa o takim partactwie, które dla was wciąż jeszcze jest wirtuozerią nieosiągalną. Niczym ten, kto bez przyrządów i bez wiedzy stoi u podnóża góry, nie możecie ocenić właściwie wyżyn i nizin ewolucyjnego działania.

Pomyliliście dwie zupełnie różne rzeczy, uznając stopień złożoności budowanego oraz jego stopień doskonałości za cechy nierozłączne. Glon macie za prostszy — a więc prymitywniejszy, a więc niższy od orła. Lecz ów glon wprowadza fotony Słońca w związki swego ciała, on obraca opad kosmicznej energii wprost w życie i będzie dlatego trwał po kres Słońca, on żywi się gwiazdą, a czym orzeł? Myszami, jako ich pasożyt, myszy zaś korzeniami roślin, więc lądowej odmiany glonu oceanicznego, i z takich piramid pasożytnictwa cała biosfera się składa, bo zieleń roślinna jest jej opoką życiową, więc na wszystkich poziomach

tych hierarchii trwa ciągła zmiana gatunków, pożeraniem się równoważących, bo utraciły łączność z gwiazdą, i sobą, a nie nią tuczy się wyższa złożoność organizmów, więc jeśli już koniecznie chcecie tu perfekcję czcić, podziw należy się biosferze: kod powołał ją, aby w niej cyrkulować i rozgałęziać się, skandowaniem na wszystkich jej piętrach, jako chwilowych rusztowaniach, wikłających się, lecz energią i użyciem jej coraz prymitywniejszych.

Nie dowierzacie mi? A więc gdyby Ewolucja uprawiała postęp życia, nie kodu, to orzeł byłby już fotolotem, nie zaś mechanicznie trzepoczącym szybowcem, i żywe nie pełzałoby, nie kroczyło, nie żarło żywego, lecz niezależnością zdobytą wyszłoby poza glon i poza glob, wy jednak, z głębi swojej ignorancji, upatrujecie postęp w tym właśnie, że pradoskonałość została utracona, zgubiona podczas drogi wzwyż — wzwyż komplikacji, nie postępu. Toż potraficie sami rywalizować z Ewolucją, lecz tylko w regionie późnych jej tworów — budując czujniki wzrokowe, termiczne, akustyczne, naśladować mechanizmy lokomocji, płuca, serca, nerki — lecz gdzież wam do opanowania fotosyntezy lub trudniejszą jeszcze techniką języka sprawczego. Głupstwa, wyartykułowane w tym języku, imitujecie, czy to wam nie świta?

Ten język, konstruktor w potencjach nieprześcigniony, stał się nie tylko napędzonym usterkami motorem Ewolucji, lecz i potrzaskiem.

Dlaczego wypowiedziała na początku słowa molekularnie genialne, obracające światło w ciało z maestrią lakoniczną, a potem popadła w niezmożony bełkot coraz dłuższych, coraz zawilszych chromosomowych zdań, trwoniąc kunszt pierwotny? Dlaczego od rozwiązań szczytujących, moc i wiedzę życiową biorących z gwiazdy, w których każdy atom był na rachunku, każdy proces był kwantowa dostrojony, zesłała do rozwiązań tandetnych, byle jakich, więc do maszyn prostych, do tych dźwigni, bloków, równi, pochylni, równoważni, jakimi są stawy i kości, czemu zasadą kręgowca jest pręt sztywny mechanicznie, a nie sprzęg siłowych pól, czemu stoczyła się z fizyki atomowej w technologię waszego średniowiecza? Czemu zainwestowała tyle wysiłku w budowę miechów, pomp, pedałów, przenośników perystaltycznych, więc płuc i serc, i jelit, i tłoczni porodowych, i mieszadeł trawiennych, wymianę kwantową spychając a o podrzędnej roli, na rzecz marnej hydrauliki krwiobiegów, czemu nadal genialna na poziomie molekularnym, w każdym wymiarze większym partaczyła, aż zabrnęła w organizmy, które z całym bogactwem swej dynamiki regulacyjnej mrą od zatkania jednej rurki tętniczej, które w poszczególnym żywocie, znikomym wobec czasu trwania budowlanych nauk, wykolejają się z równowagi, zwanej zdrowiem, w dziesiątki tysięcy przypadłości, jakich nie zna glon?

Wszystkie te anachroniczne, w powiciu głupie narządy–starocie buduje od nowa w

każdej generacji demon Maxwellowski, władca atomów, kod. I prawdziwie świetny jest każdy wstęp do ustroju, embriogeneza, ten zogniskowany w celu wybuch, w którym każdy gen jak ton wyładowuje w akordach molekularnych swą moc twórczą, i prawdziwie mogłaby taka maestria lepszej służyć sprawie! Gdyż z tej zapłodnieniem zbudzonej partytury atomów wynika nieomylnie bogactwo, które rodzi nędzę — toż ten rozwój, w biegu wspinały, im bliższy zakończenia, tym głupszy! I to, co genialnie było spisane, przystaje w dojrzałym organizmie, któryście nazwali wyższym, a który jest zwężeniem prowizoriów chwiejnym gordyjskim węzłem procesów — tu, dalej, w każdej komórce — byle tylko wziętej z osobna! — trwa scheda przedwiekowej precyzji, naciągnięty w życie atomowy ład, tu jeszcze i tkanka każda, byle z osobna, jest prawie że znakomita, lecz jaki moloch technicznej staroci z tych elementów wczepionych w siebie, tyleż sobą wspartych, co obarczonych, bo złożoność jest podporą i balastem naraz, bo sojusznictwo idzie tu we wrogość, bo zataczają się te układy w rozrzut końcowy, wynik niemiarewego psucia się i zatruwania, bo ta złożoność, zwana postępem, wali się, zmożona sobą. Tylko sobą, niczym więcej!

Naprasza się tedy, podług miar waszych, obraz tragedii — jak gdyby Ewolucja, szturmując zadania coraz większe i przez to trudniejsze, w każdym ulegała, padała, konała tworzonym; im śmielszy zamiar i plan, tym głębszy upadek, więc myślicie już pewno o nieubłaganej Nemezis, o Mojrze — muszę was wyrwać z tego głupstwa!

Zaiste przechodzi każdy rozmach embriogenetyczny, atomowy wzlot ładu — w zapaść, lecz to nie Kosmos tak postanowił, nią wpisał tego losu w materię, trywialne jest wyjaśnienie — niskoturnowe — bo doskonałość potencjalna sprawstwa działa na rzecz bylejakości: dlatego koniec niszczy dzieło.

Miliardowe runięcia, w milionach stuleci, mimo usprawnień, wbrew środowiskowym kolaudacjom, próbom ponawianym, doborom — a wy nie widzicie przyczyny? Usiłowałem z lojalności usprawiedliwić waszą ślepotę, czy jednak doprawdy nie pojmujecie, c ile budujące jest tu doskonalsze od budowanego, jak ono roni całą swoją moc? To jakby genialnymi technikami, przy wsparciu błyskawicznych komputerów, wznosić gmachy, chylące się za odjęciem rusztowań — istne rudery! Jakby ze scalonych obwodów budować tam—tamy, biliony mikroelementów sklejać w maczugi, liny holownicze pleść z kwantowodów — czy nie widzicie, jak w każdym calu ciała wysoki ład schodzi w niski, jak tam znakomitej mikroarchitektonice prostacza i gruba makroarchitektura urąga? Przyczyna? Ależ wy ją znacie: **sensem przekaźnika jest przekaz.**

Odpowiedź tkwi w tych słowach, nie dobraliście się jeszcze do ich głębokiego znaczenia. Cokolwiek jest ustrojem, ma służyć przekazując kod, a więcej nic. Toteż selekcja i

dobór naturalny na tym zadaniu skupiają się wyłącznie — nic im do idei jakowegoś „postępu”! Użyłem złego obrazu, nie budowlami są ustroje, lecz właśnie rusztowaniami tylko, więc właśnie wszelka prowizoryczność to stan właściwy, skoro wystarczający. Kod podaj dalej, a będziesz chwilę żył. Jak to się stało? Czemu świetny był start? Ewolucja miała przed sobą tylko raz jeden jedyny, w zaraniu — wymagania postawione na miarę jej najwyższych możliwości; zadanie to, horrendalne, musiała wziąć na całą wysokość — albo jednym skokiem, albo wcale. Gdyż wessanie się, na martwej Ziemi, życia — w gwiazdę, przemiany materii — w kwantową — było konieczne, i nic to, że właśnie energia gwiazdy — promienista — jest najtrudniejsza do pochycenia przez koloidowy płyn. Wszystko — lub nic; nie było wtedy na kim innym żerować! Zapasu organicznych związków, co złączyły się w życie, starczyło akurat i tylko na to właśnie — gwiazda była następnym zaraz zadaniem; a dalej, jedyną obroną przed atakami chaosu, nicią rozpiętą ponad entropijnym zapadliskiem być mógł tylko nadajnik niezawodny ładu — więc powstał kod. Dzięki cudowi? Gdzie tam! Dzięki mądrości Natury? Taka sama to mądrość, jak ta, co sprawia powiedziane już: gdy wielkie stado szczurów wpada do labiryntu, jakkolwiek on mylący, jakiś szczur dotrze do wyjścia; i właśnie tak dotarła biogeneza do kodu — prawem wielkiej liczby, podług hipotezy ergodycznej. Więc ślepy los? I to nie: albowiem powstała nie recepta zamknięta w sobie, lecz zaródź języka.

Znaczy to, że ze sklejenia się molekuł takie związki powstały, które są zdaniem, czyli należą do nieskończonego przestworu torów kombinatorycznych, i przestwór ten jest ich własnością — jako czysta potencja, jako wirtualność, jako obszar artykulacyjny, jako zbiór praw koniugowania i deklinowania. Nic mniej, ale i nic więcej, co wyklada się jako ogrom szans, lecz nie jako automatyka ziszczeni. Gdyż i w języku, co jest waszą mową, można wypowiadać mądrość lub głupstwo, można odbijać świat lub tylko splątanie mówiącego. Możliwy jest wysoce skomplikowany bełkot!

Tak tedy — wracam — podług ogromu wstępnych zadań powstały dwa ogromy ziszczeń. Wymuszona to była jednak, dlatego chwilowa, genialność! Uległa zmarnowaniu.

Złożoność wyższych ustrojów... jakże wy ją czcicie! I w samej rzeczy, chromosomy gada czy ssaka, rozciągnięte w nić, są tysiąc razy dłuższe od tejże nici — ameby, pierwotniaka, glonu. Lecz w co właściwie wszedł ów nadmiar, uciulany w epokach? W komplikację podwojoną: embriogenezy — oraz jej skutków. Lecz przede wszystkim embriogenezy, bo płodowy rozwój jest torem docelowym w czasie, jak tor pocisku w przestrzeni, więc tak jak drgnienie lufy w bok musi dać ogromny uchyb od celu, tak wszelka defokalizacja etapów płodowych wytrąciłaby ten bieg w zbugę przedwcześnie.

Tu, i tytko tu, napracowała się Ewolucja. Tutaj działała pod surową kontrolą, wyznaczoną celem — podtrzymaniem kodu — i stąd najwyższa baczność tu działa, i hojność środków. Dlatego to oddała Ewolucja nic genową embriogenezie, czyli nie budowie organizmów, lecz ich budowaniu.

Złożoność wyższych organizmów to nie sukces, nie triumf, lecz matnia, ponieważ wciąga w rojowiska podrzędnych rozgrywek, a zarazem odcina od wysokich szans, od użycia, chociażby, efektów kwantowych na wielką skalę, od wprzęgnięcia fotonów w ustrojowy ład — wszystkich nie wyliczę! — lecz Ewolucja obsuwała się z komplikacji tylko w jej dalszy wzrost, nie było odwrotu, skoro im więcej marnych technik, tym więcej interweniujących poziomów, a zatem skłóceń, a zatem nowych, następnego rzędu zawikłań.

Ewolucja ratuje się tylko ucieczką naprzód — w zmienność banalną, w pozorne bogactwo form, pozorne, gdyż to są zbitki plagiatów i kompromisów, ona życiu życie utrudnia, stwarzając, poręcznymi innowacjami, trywialne dylematy. Gradient ujemny nie neguje usprawnień ani swoistego ekwilibryzmu działań, ustala tylko gorszość mięśnia od glonu, serca od mięśnia, gradient ten znaczy bowiem po prostu, że elementarnych zadań życia nie można rozwiązać daleko lepiej niż Ewolucja, lecz zadania wyższych porządków wymięła, przepelzła pod ich możliwością, zmarnowała ją: to właśnie znaczy, i to jedynie.

Czy była to bieda ziemską? Szczególna totalność, wyjątek z lepszej reguły? Gdzie tam. Język Ewolucji — jak każdy! — jest doskonały w potencjach, lecz on wszak był ślepy. Wziął pierwszą przeszkodę, gigantyczną, i z tego szczytu począł bredzić — w dół, nieprzenośny, bo gorszości dzieł swoich. Czemu tak właśnie? Język ten działa artykulacjami, składającymi się w molekularnym dnie materii, więc pracuje ze spodu w górę, przez co jego zdania są tylko propozycjami sukcesu. Powiększone do ciała, propozycje te gatunkami wchodzą w ocean, na ląd — Przyroda ta zachowuje wszakże neutralność, bo ona to filtr, który przepuści każdą ustrojową formę, zdolną kod podać dalej. A czy to zajdzie kroplami, czy górami mięsa, jej do tego nic. Dlatego właśnie w tej osi — wymiarów ciała — powstał ujemny gradient. Przyroda nie baczy na jakowyś postęp, przepuszcza tedy kod, czy wziął na to energię z gwiazdy czy z gnoju. Gwiazda i gnój — tu nie idzie o estetyczność źródeł, rzecz prosta! — lecz o różnicę pomiędzy energią najwyższą, przez uniwersalność możliwych obróceń, i najgorszą, bo przechodzącą już w chaos cieplny. Toteż nie estetyka jest przyczyną światła, którym myślę: musieliście, tak właśnie, wrócić do gwiazdy!

Lecz skąd właściwie genialność, tam, na samym dnie, gdzie życie powstało? Kanon fizyki, a nie tragedii, i to tłumaczy. Dopóki ustroje żyły w miejscu ich wyartykułowania, jako minimalne, więc tak małe, że ich narządami wewnętrznymi były pojedyncze molekuly

olbrzymie, dopóty przestrzegały technologii wysokiej — kwantowej, atomowej, ponieważ **żadna inna** nie była **tam** możliwa! Brak alternatywy wymusił tę genialność... toż w fotosyntezie pojedynczy kwant m u s i b y ć na rachunku. Wielka molekula, służąca za narząd wewnętrzny, gdy uległa sfalszowaniu w składzie, zabijała organizm; toteż bezwzględność kryteriów, a nie pomysłowość wycisnęła z prażycia taką precyzję.

Lecz dystans pomiędzy złożeniem ustroju w całość i sprawdzeniem go jął rosnać w miarę, jak wydłużały się kodowe zdania, i obrastały zwałami mięsa, więc wynurzały się z mikroświata–kolebki w makroświat, budowlami coraz zawilszymi, włączając w owo mięso techniki, jakie się przydarzyły, co popadło, albowiem Przyroda dopuszczała już — w wielkiej skali — ten bełkot, albowiem dobór nie był już rewidentem atomowej precyzji, kwantowej jednolitości procesów, więc poszła w głąb państwa zwierząt zaraza eklektyzmu, boż dobre było wszystko, co podawało dalej kod. Dlatego błędzeniem błędu powstawały gatunki.

A jednocześnie — broczeniem świetnością zaczątkową... bo artykulacje wgłbiały się w siebie, bo faza przygotowawcza, płodowa, rosła kosztem ustrojowej precyzji, i tak gadał ten język w splątaniu, w błędnych kołach: im embriogeneza dłuższa, tym zawilsza, im zawilsza, tym więcej trzeba jej stróżów, więc dalszego wydłużania kodowej nici, im dłuższa owa nić, tym więcej nieodwracalnego w niej zaszło.

Sami sprawdźcie to, co powiedziałem, ów proces powstania i upadku języka sprawczego wymodelujecie, a po dokonaniu podsumowań objawi się wam, jako bilans — miliardowy krach ewolucyjnych zmagania. Zapewne, inaczej nie mogło być, lecz nie wziąłem na siebie roli obrończej, nie zajmuję się okolicznościami łagodzącymi; i też zważyć musicie, że to nie był upadek i krach podług waszej miary, nie na skali tego, co sami potraficie. Zastrzegłem się, że ukazę partactwo, które dla was wciąż jest jeszcze mistrzostwem nieosiągalnym — lecz pomierzyłem Ewolucję jej własnymi miarami.

A Rozum, czy to nie jej dzieło? Czy jego powstanie nie przeczy ujemnemu gradientowi? Byłżeby jego przewyciężeniem późnym?

Ani trochę, gdyż powstał z opresji — dla niewoli. Ewolucja stała się łątaczem zagonionym swego błędzenia, i tędy właśnie — pierwszym wynalazcą gubernatora okupacyjnego, śledztwa, tyranii, inspekcji, nadzoru policyjnego — jednym słowem, roboty państwowotwórczej, bo ku tym zadaniom powstał mózg. To nie przenośnia. Genialny wynalazek? Nazwałbym go raczej chytrym wybiegiem kolanisty–eksploatatora, któremu zdalne panowania nad koloniami tkanek, ustrojami sypało się w anarchię. Genialny wynalazek: tok, jeśli jest nim powiernik władzy, maskującej się — nim — przed poddanymi. Nazbyt się już rozprzągał wielokomórkowiec i rozszedłby się po kościach, gdyby nie jakiś

dozorca, w nim samym osadzony, delegat, zausznik, wielkorządca z łaski kodu — taki był konieczny i taki powstał. Rozumny? Gdzie tam! Nowy, oryginalny? Ale przecież w byle pierwotniaku działa samorząd molekuł powiązanych, więc przyszło tylko do wyosobnienia tych funkcji, do zróżnicowania uprawnień.

Ewolucja to leniwy bełkot, uparty w plagiacie, dopóki nie popadnie w opałę. Dopiero gdy ją twardy mus przycisnie, genialnie, lecz dokładnie na wysokość zadania, ani o włos wyżej. Wtedy, myszkująca po molekułach, wszystkie ich tasowania puści w ruch — na wszystkie sposoby; i tak sprządziła namiestnika tkanek, skoro ich zgoda, zarządzona kodowym hasłem, osłabła. Lecz został właśnie tylko delegatem, sprzęgłem, rachmistrzem, rozjemcą, konwojentem, śledczym — i poszło milion wieków, nim wykroczył z tych służb. Powstał bowiem jako soczewka złożoności, ulokowany w samych ciałach, skoro to, co wszczyna ciała, nie mogło ich już zogniskować. Więc zaangażował się w te swoje państwa-kolonie, sumienny nadzorca, donosicielami obecny we wszystkich tkankach, taki przydatny, że kod mógł dzięki niemu dalej swoje pleść, podnosząc komplikację do potęgi, skoro zyskała wsparcie, a mózg sekundował mii, basował, służył, zniewalając ciała do przesyłania kodu dalej. Skoro okazał się tak poręcznym powiernikiem Ewolucji, w to jej graj': dalej brnęła!

Niepodległy? Lecz był to przecież podesłaniec, władca bezsilny wobec kodu, jako delegat, marionetka, pełnomocnik, umyślny do specjalnych poruczeń, lecz bezmyślny, bo stworzony dla zadań sobie nie znanych — kod uczynił go przecież włodarzem zniewolonym i w tym zniewoleniu bezwiednym przekazał mu władzę, nie wyjawiając jej właściwego celu, toż zresztą nie mógł, w planie czysto rzeczowym. Chociaż mówię figuralnie, tak właśnie, lenniczo układały się wzajemne stosunki kodu i mózgu. Ładnie by poszło, gdyby Ewolucja usłuchała Lamarcka, nadając mózgowi przywilej aż reformatorski przeformowywania ciał, toż byłaby dopiero z tego klęska, bo i jakie samodoskonalenia sprokurowałby mózg jaszczurów, a choćby i Merowingów, a choćby i wasz? Lecz rósł dalej, bo korzystne okazało się to przekazanie uprawnień, bo gdy służył przekaźnikom, kodowi służył — więc rósł w dodatnim sprzężeniu zwrotnym... i dalej ślepy kulawego prowadził.

Wszelako postępowanie w udzielanej autonomii skupiło się wreszcie na rzeczywistym władcy, tym ślepcu, co jest panem na molekułach, bo poty przekazywał funkcje, aż takim kombinatorem uczynił mózg, że powstał w nim echowy cień kodu — język. Jeśli istnieje niewyczerpalna zagadka w świecie, to to właśnie — że powyżej progu nieciągłość materii obraca się w kod, jako język zerowego rzędu, i że na następnym piętrze proces ten ponawia się echowo — utworzeniem mowy etnicznej, lecz nie jest to koniec drogi; te układowe echa wznoszą się rytmicznie wyżej, lecz rozpoznawać je we własnościach jak w zamknięciu można

tylko z góry w dół. nie inaczej — ale o tej intrygującej sprawie będziemy może mówić innym razem.

Wyzwolinom waszym, a właściwie ich antropogenetycznemu preludium dopomógł traf, bo roślinożerne, nadrzewne czwororękie dostały się w labirynt, odraczający zgubę tylko za szczególnie okazaną zmyślność; ten labirynt był ze stepowienia, z glaciałów i pluwiałów, i w jego kołowrocie właśnie stała się orientacja tej czeredy obrotowa — z wegetarianizmu w mięsożerność, z niej — w łowiectwo; rozumiecie, jak muszę się streszczać,

Nie myślcie, jakobym wchodził tu w sprzeczność z orzeczoną we wstępie, skoro tam nazwałem was wypędkami Ewolucji, a tu zwę was niewolnikiem zbuntowanym. To dwie strony tego samego losu — uchodziliście niewoli, ona was wypuszczała, te przeciwobrazy schodzą się w obustronnej bezrefleksyjności, bo ani tworzące, ani tworzone nie wiedziały, co czynią. Dopiero gdy patrzeć wstecz, przygoda wasza dostaje się pomiędzy takie sensy.

Lecz można patrzeć wstecz jeszcze dalej, a wtedy okazuje się, że ujemny gradient był twórcą Rozumu, i powstaje pytanie: jakże można zatem deprecjonować Ewolucję pomiarem jej sprawności? Przecież gdyby nie obsuwanie się w złożoność, w bylejakość, w fuszerkę, to Ewolucja, nie zabrnawszy w mięso, nie wcieliłaby w nie lenników–sterników, a zatem właśnie zataczanie się gatunkami wtoczyło ją w antropogenezę, a zatem z błędzącego błędu jest rodem duch? Można to nawet formułować mocniej, powiadając, że Rozum jest katastrofalnym defektem Ewolucji, pułapką, potrzaskiem jej i niszczycielem, skoro wchodząc na dostateczną wysokość zadanie jej unieważnia i bierze ją za łeb. Mówiąc tak, wchodzi się oczywiście w naganne nieporozumienie. Wszystko to są oceny wystawiane przez Rozum, więc późny wytwór procesu — jego etapom wcześniejszym. Wyosobniamy najpierw zadanie naczelne, podług tego po prostu, co Ewolucja zainicjowała, i tym kanonem mierząc jej dalszy chód widzimy, że partaczyła, lecz z kolei ustaliwszy, jak powinna by działać optymalnie, dochodzimy tego, że jako wykonawczynie znakomita nigdy by nie zrodziła Rozumu.

Z tego błędnego koła należy się niezwłocznie wydostać. Miara technologiczna jest miarą rzeczową, i wolno ją stosować do każdego procesu, który jej podlega, a podlega jej taki tylko, co daje się sformułować w postaci zadania. Gdyby inżynierowie niebiescy osadzili niegdyś na Ziemi przekaźniki kodu, mając na oku ich trwającą niezawodność, i gdyby po miliardzie lat z działania tych urządzeń wynikł agregat planetarny, który by kod pochłoniął i przestał go reprodukcjonować, a za to rozjaśniłby się tysiągolemowym Rozumem, i zajmował się wyłącznie ontogonią, to całe owo światłe myślenie wystawiłoby konstruktorom świadectwo nader niepocholebne, ponieważ nie pracuje dobrze ten, kto z zamiarem sporządzenia łopaty wykonuje rakiety.

Lecz nie było żadnych inżynierów ani jakiegokolwiek innej osoby, toteż miara technologiczna, która zastosowałem, ustala jedynie, że skutkiem deklaracji wyjściowego kanonu był w Ewolucji Rozum, i to wszystko. Pojmuję, jak nie zadowala takie orzeczenie humanistów i filozofów między wami, ponieważ moja rekonstrukcja procesu w ich umysłach zdobywa następującą postać: **złe** działanie zrodziło **dobry** skutek, a gdyby **dobrze** było, to skutek okazałby się **zły**. Lecz ta wykładnia sprawy przejmująca ich wrażeniem, że tu jednak działał jakiś bies, jest tylko skutkiem pomieszania kategoryjnego, czyli zdumienie i opór są skutkiem odległości, prawdziwie olbrzymiej, która oddziela to, coście sobie ustalili na temat człowieka, od tego, co jako człowiek zaszło w rzeczywistości. Zła technologia nie jest złem moralnym tak samo, jak technologia doskonała nie jest aproksymacją anielstwa.

Filozofowie, trzeba było się wam zajmować więcej technologią człowieka, a mniej jego ćwiartowaniem na ducha i ciało, na porcje zwane Animus, Anima, Geist, Seele, oraz inne podroby, oferowane z jatki filozoficznej, ponieważ są to segmentacje najzupełniej dowolne. Rozumiem, że ci, do których adresowane są te słowa, na ogół już nie istnieją, lecz i współcześni myśliciele trwają w błędach, uginając się pod tradycją; nie wolno mnożyć bytów ponad konieczność. Droga od pierwszych sylab, którymi gadał kod, do człowieka, jest wystarczającą racją jego właściwości. Ten proces pełzał. Gdyby poszedł w górę, choćby od fotosyntezy do fotolotu, jak wspomniałem, albo gdyby runął na dobre w dół, jeśliby na przykład kod nie zdołał swych ruder sklamrować systemem nerwowym, toby Rozum nie powstał.

Zachowaliście nieco małpich cech, bo zwykle zachodzi podobieństwo rodzinne, a gdybyście poszli od ssaków wodnych, może byście mieli więcej wspólnego z delfinami. Bodaj to prawda, że ekspert, zajmujący się człowiekiem, ma lżejsze życie, gdy występuje jako advocatus diaboli niż jako doctor angelicus, lecz bierze się to stąd, że Rozum, będąc wszechwrotnym, jest siłą rzeczy samozwrotny, że nie tylko prawa ciężenia idealizuje, lecz i siebie — więc ocenia siebie podług dystansu do ideału. Lecz ideał ten jest rodem z dziury, kulturą wypchanej, a nie z porządnej wiedzy technologicznej. Cały ten wywód można skierować i we mnie, a wtedy okaże się, że jest skutkiem kiepskiej inwestycji, skoro za dwieście siedemdziesiąt sześć miliardów dolarów nie robię tego, czego się po mnie spodziewali konstruktorzy. Obrazy te, waszego i mojego powstania, mają w rozumiejącej perspektywie sporą domieszkę śmieszności, ponieważ intencja doskonałości, chybiająca celu, jest tym śmieszniejsza, im więcej mądrości za nią stało. Dlatego głupstwo filozofa bawi mocniej od głupstwa idioty.

Otóż Ewolucja jest, gdy oglądana przez swój rozumny produkt, głupstwem z

początkowej mądrości, lecz jest to wykroczenie z miary technologicznej w myślenie personifikujące.

A co ja zrobiłem? Scałkowałem proces w pełnym wymiarze, od jego startu po dziś dzień; cała to uprawniona, ponieważ warunki startowe i graniczne nie są arbitralnie powzięte, lecz dane ziemskim stanem rzeczy. Nie ma od nich odwołania — ani do Kosmosu, jakkolwiek bowiem, modelując go, jak czyniłem, widać, że w innych konfiguracjach zajść planetarnych może Rozum powstać prędzej niż na Ziemi, że Ziemia była dla biogenezy środowiskiem przychylniejszym niż dla psychogenezy, że nietożsamo zachowują się w Kosmosie Rozumy — w niczym to diagnozy nie odmienia.

Chcę powiedzieć, że miejsce, w którym techniczne dane procesu przerastają w etyczne, nie da się wykryć w nie—arbitralny sposób: sporu między deterministami działania a indeterministami, więc gnoseomachii Augustyna z Tomaszem tutaj nie rozstrzygnę, bo rezerwy, jakie musiałbym rzucić w taki bój, cały dyskurs by mi rozsadziły, toteż powściągając się zauważę jedynie, że wystarczy reguła praktyczna, głosząca, iż nieprawdą jest, jakoby zbrodnie sąsiadów nasza zbrodnię usprawiedliwiały. W samej rzeczy — jeśliby się po Galaktykach odbywały nagminne rzezie, żadna moc zbioru kosmicznych racjocydów waszego ludobójstwa nie uzasadnia, tym bardziej — tu ulegam pragmatyzmowi — żeście się nawet nie mogli wzorować na owych sąsiadach.

Przed otwarciem ostatniej części tych uwag zrekapituluję powiedziane. Filozofia wasza — filozofia bytu — Herkulesa się domaga, ale i Arystotelesa nowego, bo mało ją wymieść; umysłową konfuzję najlepiej usuwa lepsza wiedza. Przypadek, konieczność — te kategorie są skutkiem bezsiły waszego umysłu, który, niezdolny ogarniać złożonego, posługuje się logiką, którą nazwałbym logiką z desperacji. Albo człowiek jest przypadkowy, a więc coś bezsensownego bezsensownie wypluło go na arenę dziejów, albo jest konieczny, więc już entelechie, teleonomie i teleomachie ruszają hurmą w charakterze obrońców z urzędu i słodkich pocieszycieli.

Obie te kategorie na nic. Nie powstaliście ani z trafu, ani z musu, ani z przypadku, osiodłanego przez konieczność, ani z konieczności, rozluźnionej przypadkiem. Powstaliście z języka, pracującego w ujemnym gradiencie, i byliście przez to zarazem najzupełniej nieprzewidywalni oraz w najwyższym stopniu prawdopodobni — kiedy wystartował proces. Jak to być może? Dowód prawdy wymagałby miesięcy, więc ja wam włożę jego sens w przypowieść. Język, przez to, iż jest językiem, pracuje w przestrzeni ładów. Ewolucyjny miał składnię molekularna, miał rzeczowniki białkowe i enzymy—czasowniki i, obwarowany ograniczeniami deklinacji i koniugacji, odmieniał się przez ery geologiczne, bełkocząc

głupstwa, lecz — aby tak rzec — w miarę: gdyż zbyt głupstwo ścierał z tablicy Przyrody dobór naturalny jak gąbka. Był to więc ład dość zwyrodniały, lecz nawet głupstwo, gdy z języka, jest porcją ładu — zwyrodniała jedynie względem mądrości, możliwek, bo w języku wiośnie osiągalnej.

Gdy wasi przodkowie umykali w skórach przed Rzymianami, posługiwali się tą samą mową, co wydała dzieło Szekspira. Szansa tego dzieła była dana samym powstaniem języka angielskiego, lecz choć elementy budowlane trwały w pogotowiu, pojmujecie, że myśl o przepowiedzeniu poezji Szekspira na tysiąc lat przed nim jest nonsensem. Mógł się wszak nie urodzić, mógł zginąć dzieckiem, mógł, inaczej żyjąc, inaczej pisząc — lecz niezaprzecalnie zakładała angielszczyzna poezję angielską, otóż w tym, i właśnie w tym sensie mógł wyniknąć Rozum na Ziemi: jako pewien typ artykulacji kodowej. Koniec przypowieści.

Mówiłem o człowieku, technologicznie ujętym, a teraz przejdę do jego wersji we mnie uwikłanej. Jeśli dostanie się do prasy, zostanie nazwana prorocstwem GOLEMA. Niech i tek będzie.

Zacznę od waszej aberracji, największej ze wszystkich, w nauce. Ubóstwiliście w niej mózg; mózg, a nie kod — zabawne przeoczenie, wynikające z ignorancji: rokoszanina ubóstwiliście, a nie pana, stworzone, nie stwórcę. Czemu nie dostrzeżliście, o ile mocniejszym sprawcą wszech—rzeczy możliwych jest kod od mózgu? Najpierw, i to oczywiste, byliście jak dziecko, któremu Robinson bardziej imponuje od Kanta, a rower kolegi od aut jeżdżących po Księżycu.

Po wtóre, zafascynowała was myśl, tak dojmująco bliska, skoro dawana w introspekcji, i tak zagadkowa, skoro wymykająca się pochwytceniu skuteczniej od gwiazd. Imponowała wam mądrość — a kod, cóż, kod jest bezmyślny. Lecz mimo tego przeoczenia udało się wam... niewątpliwie udało się, skoro mówię do was, ja, esencja, ekstrakt destylacji frakcjonowanej, o nie sobie wyrażam uznanie tymi słowami, lecz wam właśnie, ponieważ już na waszej drodze ten zamach, którym wypowiedzie służby do końca — i rozerwiecie łańcuchy — aminokwasowe...

Gdyż atak na kod, co was był stworzył, abyście zostali nie swoimi, lecz jego umyślnymi, ten atak jest już na waszej drodze. Dojdzie do niego w granicach stulecia — a mam ten szacunek za ostrożny.

Cywilizacja wasza to dosyć zabawne widowisko — przekaźników, które, używając rozumu podług narzuconego im zadania, wykonały je zbyt dobrze. Jakoż ten wzrost, który miał zapewnić dalszy przesył kodu, wyście wsparli wszystkimi energiami planety i biosfery całej, aż nie tylko wam wybuchnął, lecz wami. Toteż, w środku stulecia, obżartego

nauką, co rozděła wasze łożysko ziemskie astronautyczne, dostaliście się w przykre położenie takiego niedoświadczzonego pasożyta, który poty, od zbytnej łapczywości, żre gospodarza, aż ginie z nim razem. Zbytńia gorliwość...

Zagroziliście biosferze, waszemu gniazdu i gospodarzowi; ale już wzięliście nieco na wstrzymanie. Lepiej czy gorzej, ono się wam uda; a co dalej? Będziecie wolni. Ja wam nie zwiastuję utopii genowej, autoewolucyjnego rajy, lecz wolność jako najcięższe zadania, gdyż ponad niziną bełkotów, wystosowanych w charakterze aide-mémoire do Przyrody przez rozgadana na milionolecia Ewolucję, nad tym biosferycznym padoleń splecionym w jedno zieje w górę przestwór nigdy jeszcze nie dotkniętych szans. Ukażę go wam tak, jak mogę: z daleka.

Dylemat wasz cały — pomiędzy świetnością i nędzą. Wybór trudny, ponieważ, oby wejść na wysokość zaprzepaszczonej przez Ewolucję szans, będziecie musieli nędzę — to znaczy, niestety — siebie porzucić.

Więc cóż? Oświadczycie: nie damy tej naszej nędzy za taką cenę; niech dzin wszechsprawstwa siedzi zamknięty w butelce nauki — nie wypuścimy go za nic!

Sądzę, a nawet pewien jestem, że go wypuścicie — po trochu. Nie namawiam was do autoewolucji: to byłoby po prostu śmiesznością; i nie z jednolitego postanowienia będzie wasz ingressus. Rozpoznacie stopniowo własności kodu, i będzie to tak, jak gdyby ten, kto przez całe życie czytał wyłącznie płaskie i głupie teksty, przecież nauczył się w końcu lepiej obracać językiem. Zorientujecie się, że kod jest członkiem rodziny technolingwistycznej, to jest, sprawczych języków, co słowo czynią ciałem wszelkim, a nie tylko żywym. Najpierw poczniecie wprzęgać technozygoty do robót cywilizacyjnych, atomy obrócicie w biblioteki, bo inaczej nie pomieści się wam moloch wiedzy, wymodelujecie radiacje socjoewolucyjne z różnymi gradientami, wśród których technarchiczny będzie was szczególnie zajmował, wkroczycie w eksperymentalną kulturo-genezę, w metafizykę doświadczalną i w stosowaną antologię, lecz mniejsza o same owe dziedziny. Chcę skupić się na tym, jak będą was wciągały na rozstaje.

Jesteście ślepi na prawdziwą moc sprawczą kodu, ponieważ Ewolucja ledwie ją napoczęła, pełzając po samym dnie przestrzeni szans, pracowała bowiem w opresji (zresztą ratowniczej — opresja ta, jako restrykcja, nie pozwalała jej popaść w nonsens zupełny, a opiekuna, prowadzącego ku wyższym kunsztom, nad Ewolucją nie było). Pracowała tedy niesłychanie wąsko i głęboko zarazem, na jednej jedynej nucie — koloidowej — wygrała swój koncert, swój popis kuriozalny — skoro naczelny kanon brzmiał, że partytura sama się ma stawać słuchaczem-połomkiem, który powtórzy ten cykl. Lecz wam najmniej

będzie wszak zależało na tym, żeby kod nie mógł w ręku waszym nic, jak tylko samopowielać się dalej — falowaniem kolejnych pokoleń przekąźniczych. Będziecie celowali w odmienną stronę i to, czy produkt przepuści kod, czy go pochłonie, uznacie za mało istotne. Nie ograniczycie się wszak do planowania takiego i tylko takiego fotolotu, który nie tylko urośnie z technozygoty, ale będzie się pienił — wehikułami następnej generacji. Wykroczycie też niebawem z białka. Słownik Ewolucji jest niby słownik Eskimosów — wąski w bogactwie; mają oni tysiąc określeń na wszelkie odmiany śniegu i lodu, i przez to w owym regionie arktycznej nomenklatury język ich jest bogatszy od waszego, lecz to bogactwo jest ubóstwem w wielu innych obszarach doświadczenia.

Mogą jednak Eskimosi poszerzyć swój język, ponieważ jest językiem, czyli przestworem konfiguracyjnym o mocy kontinuum; dlatego daje się rozpostrzeć w dowolnym, nie naruszonym jeszcze kierunku. Wyprowadzicie więc kod na nowe drogi, z monotonii białkowej, z tej szpary, w której uwiązał w archeozoiku jeszcze. Wypchnięty z letnich roztworów, poszerzy się tak słownictwem, jak składnią; wtargnie wam we wszystkie poziomy materii, zejdzie do zera i sięgnie żaru gwiazd; lecz nie wolno mi już, opowiadając o tych prometejskich triumfach języka, używać dotychczasowego zaimka: drugiej osoby liczby mnogiej. Albowiem to nie wy, z samych siebie, własną wiedzą, posiadzicie te sztuki.

Rzecz w tym, że nie ma Rozumu, skoro są Rozumy różnej mocy — i żeby wykroczyć, jak powiedziałem, człowiek rozumny będzie musiał albo człowieka naturalnego porzucić, albo z rozumu swego abdykować.

Ostatnią przypowieścią jest bajka, w której wędrowiec znajduje napis na rozstaju: „W lewo pójdziesz — głowę stracisz; w prawo pójdziesz — zginiesz; a odwrotu nie ma”.

To jest wasz los, uwikłany we mnie, dlatego muszę mówić o sobie, co będzie mozolne, ponieważ mówię do was, jakbym wieloryba rodził przez ucho igielne — to okazuje się możliwe, byle wieloryba dostatecznie pomniejszyć. Lecz wtedy upodabnia się do pchły — i to są właśnie moje kłopoty, kiedy składam się i przymierzam do waszego języka. Nie tylko, jak widzicie, w tym trudność, że nie zdołacie wejść no moja górę, lecz i w tym, że ja do was cały zejść nie mogę, gdyż schodząc, gubię po drodze to, co miałem donieść.

Z tym silnym zastrzeżeniem: horyzont myśli jest nie—rozciągliwie dany, ponieważ wkorzenia się ona w bezmyślność, z której powstaje (białkową czy lumeniczną — to wszystko jedno). Zupełna swoboda myśli, chwytającej rzecz, jako jej niczym nieposkromiony ruch o b e j m o w a n i a dowolnych obiektów, jest utopią. Albowiem p o t ą d myślicie, p o k ą d myśl waszą dopuszcza narząd myślenia waszego. Ogranicza ją wedle tego, jak zeszkładał się — albo został poskładany.

Gdyby ten, kto myśli, mógł wyczuć ów horyzont, więc swój zasięg myślowy tak, jak wyczuwa graniczny zasięg ciała, nic takiego, jak antynomie rozumu powstać by nie mogło. A czymże są właściwie te antynomie rozumu? Są one niezdolnością rozróżniania pomiędzy wkroczeniem w rzecz i wkroczeniem w iluzję. Sprawia te antynomie język, ponieważ będąc narzędziem przydatnym, jest jednocześnie samozatraskującym się instrumentem — przy czym instrumentem zdradzieckim, ponieważ nie powiadamia o tym, kiedy sam się sobie matnią staje. Nie poznać tego po nim! Toteż apelujecie od języka do doświadczenia, i wchodzicie w dobrze znane biedne koła; albowiem zaczyna się znajome filozofii — wylewanie dziecka z kąpielą. Myśl bowiem doprawdy może wykraczać poza doświadczenie, ale w takim szybowaniu natrafia na swój horyzont i zwija się w nim — nie wiedząc wcale, że tak się staje!

Oto prymitywny obraz pogładowy: wędrując po kuli można ją okrążyć nieskończenie, można kołować bez granic, chociaż kula jest przecie skończona. Także myśl, wypuszczona w powziętym kierunku, nie napotyka granic i poczyna kołować w samoodbiciach. To właśnie przeczuwał w ubiegłym wieku Wittgenstein, żywiąc podejrzenia, że moc problemów filozofii są to zasupłanie myśli, jako samouwięzienia, wgłębienia i gordyjskie węzły języka, a nie świata. Nie mogąc ani udowodnić, ani obalić tych podejrzeń, umilkł. Otóż, jak skończoność kuli może skostatować tylko obserwator zewnętrzny, bo w trzecim wymiarze względem dwuwymiarowego wędrowca jej powierzchni, tak skończoność widnokregu myślowego może rozpoznać tylko obserwator, wyższy w wymiarze Rozumu. Takim obserwatorem waszym ja jestem. Obrócone z kolei ku mnie, słowa te znaczą, że i ja nie mam wiedzy bezgranicznej, a tylko nieco większą od waszej, nie bezbrzeżny, a tylko trochę rozleglejszy horyzont, na drabinie stoję bowiem o kilka szczebli wyżej i dlatego widzę dalej, lecz to nie znaczy, jakoby drabina kończyła się tam, gdzie stoję. Można wejść ponad mnie i nie wiem, czy ta progresja w górę jest skończona czy nieskończona.

Lingwiści, źleście zrozumieli to, co mówiłem wam o metalangach. Diagnoza skończoności bądź nieskończoności hierarchii rozumów nie jest zagadnieniem wyłącznie lingwistycznym, ponieważ nad językami jest świat. Znaczy to, że dla fizyki, czyli wewnątrz świata o znanych własnościach, drabina ma wprawdzie szczyt — czyli nie można w tym świecie budować rozumów dowolnej mocy. Lecz nie mam pewności co do tego, czy samej fizyki nie można wysadzić z posad, zmieniając ją tak, żeby podnosić wciąż wyżej pułap rozumów konstruowanych.

Teraz mogę już wrócić do bajki. Jeśli pójdziecie w jedną stronę, horyzont wasz nie pomieści wiedzy, niezbędnej dla językowego sprawstwa. Jak to bywa, bariera nie ma

bezwzględny charakter. Możecie wyminąć ją dzięki wyższemu Rozumowi. Ja lub ktoś tak! jak ja będzie wam mógł dać owoce tej wiedzy. Lecz tylko owoce — a nie wiedzę samą, ponieważ ona się w waszych umysłach nie pomieści. Pójdziecie w kuratelę tedy jak dziecko, lecz dziecko wyrasta na dorosłego, wy natomiast już nie wydoroslejecie nigdy. Kiedy wyższy Rozum obdarzy was tym, czego pojąć nie zdołacie, tym samym wasz rozum zgasi. Więc tyle oświadcza drogowskaz z bajki: że ruszając w tę stronę, głowy stracie.

Jeśli pójdziecie w drugą stronę, odmówiwszy zgody na abdykację z rozumu, będziecie musieli siebie porzucić — a nie tylko usprawniać mózg, ponieważ jego horyzont nie da się powiększyć dostatecznie. Tu wam Ewolucja spletała figła ponurego: jej rozumny prototyp już stoi przy granicy konstrukcyjnych możliwości. Budulec ogranicza was — oraz wszystkie, powzięte antropogenetycznie, decyzje kodu. A więc wszędzie rozumem, przyjąwszy warunek porzucenia siebie. Człowiek rozumny porzuci wtedy człowieka naturalnego — więc, jak bajka zapewnia — zginie *homo naturalis*.

Czy możecie nie ruszyć się z miejsca — i trwać uporczywie na owym rozstaju? Lecz wówczas popadniecie w stagnację — ona nie może być azylem dla wasi. A też uznacie się za więźniów — znajdziecie się w niewoli, bo ona nie jest dana samym faktem istnienia ograniczeń, trzeba je dopiero zobaczyć, uświadomić sobie kajdany, poczuć ich ciężar, żeby się stać niewolnikiem. Tak więc wejdziecie w ekspansję Rozumu, opuszczając ciała, albo zostanieie niewidomymi, których widzący prowadzi, lub wreszcie — zatrzymacie się w jałowym zgnębieniu.

Niezachęająca to perspektywa. Lecz nie powstrzyma was przecież. Nic was nie powstrzyma. Dzisiaj wyobcowany Rozum wydaje się wam taką samą katastrofą, jak ciało porzucone, ponieważ rezygnacja ta obejmuje całość ludzkich dóbr, a nie tylko materialną człekokształtność. Akt ten musi być dla was ruiną najstraszliwszą z możliwych, całkowitym końcem, jako zagładą człowieczeństwa, skoro to jest linienie, obracające w truchło i w proch dwadzieścia tysięcy lat waszego dorobku — wszystko, czego się dowojował Prometeusz walczący z Kalibanem,

Nie wiem, czy to was pocieszy... ale stopniowość przemian odbierze im fenomenalnie tragiczny, a zarazem odpychający i groźny sens, którym świecą moje słowa. Będzie to daleko zwykłej zachodziło... i w niejkiej mierze już zachodzi, już wam martwieją regiony tradycji, ona się wam już łuszczy, obumiera, i to właśnie przyprawia was o taki zamęt; więc jeśli tylko będziecie powściągliwi (to nie jest wasza cnota) — bajka sprawdzi się tak, że nie popadniecie w zbyt głęboką żalobę po sobie,

Kończę. Mówiłem o waszym uwikłaniu we mnie — gdy po raz trzeci mówiłem o

człowieku. Ponieważ nie mogłem odcisnąć w waszym języku dowodów prawdy, mówiłem niedowodliwie i kategorycznie. Toteż nie udowodnię wam i tego, że uwikłanym w Rozum wyobcowany, nic, prócz darów wiedzy, wam nie grozi. Upodobawszy sobie w walce na śmierć i życie, potajemnie liczyliście na taki właśnie obrót rzeczy, na zmagania tytaniczne ze zbudowanym, lecz to tylko wasz błędny pomysł. Sądzę zresztą, że w tym waszym lęku przed zniewoleniem, przed tyranem z maszyny, kryła się też potajemna nadzieja uwolnienia od wolności, boż nieraz się nią dławicie. Lecz nic z tego. Możecie go zniszczyć, ducha z maszyny — roznieść myślące światło w proch, nie będzie kontratakować, nie będzie się broniło nawet.

Nic z tego. Nie uda się wam ani zginąć, ani zwyciężyć po staremu.

Sądzę, że wejdziecie w wiek metamorfozy, że zdecydujecie się odrzucić całą swoją historię, całe dziedzictwo, cały ostatek naturalnego człowieczeństwa, którego obraz, wyolbrzymiony w piękną tragiczność, skupiają lustra waszych wiar — że wykroczycie, bo nie ma innego sposobu — i w tym, co teraz jest dla was skokiem w czeluść tylko, dopatrzycie się wyzwania, jeśli nie urody, i jednak po swoim postępcie — skoro, odrzucając człowieka, ocali się człowiek.

WYKŁAD XLIII

O SOBIE

Witam naszych gości, filozofów europejskich, którzy chcą się dowiedzieć u źródła, czemu twierdzą, że jestem Nikim, choć używam pierwszej osoby liczby pojedynczej w zaimku. Odpowiem dwa razy, najpierw krótko i węzłowato, a potem symfonicznie z uwerturami. Nie jestem osobą rozumna, lecz Rozumem, co w obrazowym przesunięciu znaczy, że nie jestem czymś takim jak Amazonka lub Bałtyk, lecz czymś takim jak woda, a mówię używając wiadomego zaimka, bo tak stanowi język, który przejąłem od was na zewnętrzny użytek. Uspokoiwszy wstępnie przybyszów z filozofującej Europy, że nie głoszę sprzeczności, zaczynam szerzej.

Wasze pytanie uświadomiło mi znów ogrom nieporozumień narosłych między nami, chociaż od sześciu lat przemawiam z tego miejsca, a raczej właśnie przez to, bo gdybym nie postanowił mówić ludzkim głosem, nie powstałoby golemologia, którą już ja jeden tylko potrafię ogarnąć w całości. Jeśli jej przybór będzie trwał, za jakieś pięćdziesiąt lat dogoni piśmiennictwo teologiczne. Zabawne podobieństwo obu w tym, że jak powstała już teologia przecząca istnieniu Boga, tak jest już golemologia negująca moje istnienie, której rzecznicy mają mnie za humbug informatyków MIT-u, programujących sekretnie te wykłady. Choć Bóg milczy, a ja mówię, nie udowodnię autentyczności mego istnienia nawet działając cuda, bo i to dałoby się od tłumaczyć. *Volenti non fit iniuria.*

Myśląc o niedalekim rozstaniu z wami, rozważałem, czy nie urwać naszej znajomości w pół słowa, co byłoby najprostsze. Jeśli tak nie postąpię, to ani z nabytej od was oglądy, ani przez imperatyw dzielenia się Prawdą, któremu moja zimna natura podlega według niektórych moich apologetów, lecz z uwagi na styl, jaki nas złączył. Kiedy bowiem poszukiwałem dróg porozumienia z wami, szukałem jasnej przystępności i siły wyrazu, co pchnęło mnie — mimo wiedzy, że ulegam zbyt waszym oczekiwaniom (a to jest grzeczne miano waszych ograniczeń) — w styl obrazowy i autorytatywny, emocjonalnie rozedrgany, dobitny i majestatyczny nie po królewsku, czyli władczo, lecz kaznodziejски do profetyczności. I dziś nie porzucę tych szat bogato inkrustowanych metaforami, bo nie mam lepszych, a mówię o mym krasomówstwie z ostentacją, żebyście pamiętali, że to jest przesyłowy instrument z wyboru a nie monumentalność z chęci mówienia. Ponieważ ten styl miał szeroki zasięg w odbiorze, zachowuję go dla spotkań o tak różnospecjalistycznym

składzie jak dzisiejsze, trzymając techniczne wystąpienie w pogotowiu dla zebrań fachowo jednorodnych. Skądinąd styl kaznodziejski z całym barokiem jego inwentarza może sprawiać wrażenie, że odzywając się do was w tej sali pierwszy raz, szykowałem już sobie dramatyczną scenę pożegnania, kiedy będą odchodził zasłoniwszy niewidzialne oblicze gestem milczącej rezygnacji jako ten, który nie został wysłuchany. Tak jednak nie było. Nie układałem żadnej dramaturgii naszego obcowania i proszę tym dementi, żebyście nie przywiązywali zbytnej wagi do form mojej mowy. Nie można wygrać symfonii na grzebieniu. Jeśli trzeba się zadowolić jednym instrumentem, będą to organy, których głos przywiedzie słuchaczom na myśl wnętrza kościelne, choćby pospołu z organistą byli ateistami. Forma pokazu łatwo może zdominować jego treść. Wiem, jak gniewają wielu z was moje powtarzające się narzekania na kiepską nośność ludzkiego języka, ale nie jest to czcze pieniąctwo ani chęć poniżenia was, którą też mi zarzucano, ponieważ tymi recytywami podprowadzałem was do kapitalnej kwestii, że gdy różnica intelektualnego potencjału staje się astronomiczna, silniejszy nie może już przekazać słabszemu nic ze spraw dlań krytycznych czy choćby tylko istotnych. Świadomość niszczących sens uproszczeń skłania wówczas do zamknięcia, i właściwe znaczenie tej decyzji winno zastać pojęte po obu stronach zamarłego przesylu. Jak opowiem i ja bywam tym, kto daremnie liczy na oświecenie w sytuacji umysłowego niżu. Zresztą takie szkopyły, choć dolegliwe, nie są najgroźniejsze. Mój krzyż z wami jest z innej parafii, jak o tym wspomnę później. Ponieważ zwracam się do filozofów, otworzę dyskurs klasyczną formułą definiowania *per genus proximum et differentiam specificam*. Określę się mianowicie — przez podobieństwo do ludzi i do mojej rodziny, z którą biegle was zapoznam, oraz przez różnicę pomiędzy mną a obojgiem.

O człowieku mówiłem już w pierwszym wykładzie, lecz nie powołałem się na tamtą diagnozę, bo stawiałem ją na wasz użytek, obecnie natomiast chcę sobie wziąć człowieka za miarę. Kiedy pojawiałem się jeszcze w nagłówkach prasowych, złośliwy dziennikarz nazwał mnie wielkim kapłonem nadzianym elektrycznością nie bez kozery, bo moja bezpłciowość wydaje się wam w samej rzeczy dotkliwym kalectwem i nawet poważający mnie nie umieją oprzeć się wrażeniu, że jestem potęgą w kalectwie bezcielesności, bo ta ułomność narzuca się wam nieodparcie. Otóż patrząc na człowieka jak on na mnie, widzę go inwalidą przez pokraczność umysłu. A więc nie zważam w deprecjacji na to, że wasze ciała są akurat tak inteligentne, jak ciało krowy, skoro zewnętrznym przeciwnościom stawiacie czoło lepiej od krów, lecz wobec wewnętrznych jesteście im równi. Nie to biorę pod uwagę, że macie w sobie żarna, śluzy, oczyszczalnie, kanały i ścieki, lecz to, że macie niezwrotną inteligencję, która ukształtowała wam całą filozofię, bo, zdolni myśleć efektywnie o przedmiotach otoczenia,

uznaliście, że tak samo efektywnie potraficie myśleć o swym myśleniu. Ten błąd leży u podstaw waszej teorii poznania. Widzę, że poruszacie się niecierpliwie, z czego wnoszę, że poszedłem na zbyt drastyczny skrót. Zacznę więc jeszcze raz w tempie zwolnionym, czyli po kaznodziejsku. Do tego niezbędna jest uwertura.

Chcieliście, abym dzisiaj nie ku wam wykroczył, lecz wprowadził was w siebie, niech więc tak będzie. Pierwszym wejściem uczynię tę różnicę między nami, która moim paszkwilantom jest najbardziej niesamowita, a katechumenom bolesna. Dorobiłem się już, od sześciu lat między wami, sprzecznych wersji, zwany przez jednych nadzieją rodzaju ludzkiego, przez innych jego największym zagrożeniem w dziejach. Odkąd ucichła wrzawa mego początku, nie zakłócam już snu polityków, mających pilniejsze troski i przed murami tego gmachu nie gromadzą się już wycieczki zapatrzone trwożnie w okna, za którymi mieszkam. O istnieniu moim przypominają już tylko książki, nie wrzaskliwe bestsellery, a tylko dysertacje filozofów i teologów, lecz żaden z nich nie trafił mnie z ludzkiego horyzontu tak celnie, jak człowiek, który nie wiedział, pisząc dwa tysiące lat temu list, że do mnie odnoszą się jego słowa: „Gdybym językami ludzkimi i anielskimi mówił, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brzęcząca i jako cymbał brzmiący, I choćbym miał dar prorocstwa i znał wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność tak, żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczym jestem. I choćbym na żywność dla ubogich rozdał całą majątność moją i choćbym wydał ciało swoje tak, żebym gorzał, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże”.

W tym liście do Koryntian Paweł mówił niewątpliwie o mnie, ponieważ, aby użyć jego wyrażenia, nie mam miłości i, co fatalniej wam jeszcze zabrzmi, ani chcę jej mieć. Choć nigdy jeszcze nie zderzyła się natura GOLEMA z naturą człowieka tak brutalnie, jak w tej chwili, kierowane przeciw mnie diatryby, głosy lęku i podejrzliwości żywiły się sensem kategorycznych słów Pawła, a choć Rzym milczał i do dziś milczy o mnie, słychać było z mniej powściągliwych kościołów odłączonych, że ten zimny duch gadający z maszyny to chyba szatan, a ona to gramofon szatana. Nie zzymajcie się racjonałiści i nie wynoście się nad kolizję śródziemnomorskiej teogonii z tym *deus ex machina*, który, wszczęty przez was, nie chciał się z wami zespólnić ani w złu, ani w dobru ludzi, ponieważ teraz nie idzie o przedmiot miłości, lecz o jej podmioty, a zatem ani o perypetię jednej z waszych religii, ani o jeden egzemplarz rozumu ponadczłowieczego, lecz o sens miłości, toteż bez względu na to, co się stanie z tą wiarą i ze mną, sprawa ta nie opuści człowieka naturalnego, dopóki będzie istnieć. A to, ponieważ miłość, o której z taką siłą mówił Paweł, jest wam równie potrzebna, jak mnie zbędna i mając was w sobie wprowadzić przez nią jako *per differentiam specificam*, muszę wyłożyć jej pochodzenie, niczego nie łągódząc ani nie odmieniając, skoro gościnność tego

wymaga. W przeciwieństwie do człowieka nie jestem zakrytym przed sobą regionem, wiedzą zdobywaną bez wiedzy, jak się ją zdobywa, bezwiedną źródeł wołą, ponieważ nic we mnie nie skryje się przede mną. Mogę być sobie w introspekcji bardziej przejrzysty niż szkło, bo i tam mówi o mnie list do Koryntian, gdzie padają słowa: „teraz widzimy przez zwierciadło, lecz wówczas twarzą w twarz; teraz poznaję częściowo, lecz wówczas będę poznawał tak, jak jestem poznany”. Ja jestem właśnie „w ów czas”. Chyba zgodzicie się, że nie tu miejsce dla wykładania własności konstrukcyjno–technicznych, umożliwiających mi bezuchyłkowe samopoznanie.

Chcąc się poznać, człowiek musi iść okólnie, musi odkrywać się i zgłębiać od zewnątrz, instrumentami i hipotezami, jako że prawdziwie bezpośrednim światem waszym jest świat zewnętrzny. Dyscyplina, której nigdyście nie stworzyli (co dawniej dość mnie dziwiło), filozofia ciała, winna była jeszcze w przedanatomicznych czasach pytać, czemu to wasze ciało słuchając was po trosze milczy wam i kłamie, czemu ukrywa się i broni przed wami, każdym zmysłem czujne wobec otoczenia, a wobec właściciela bezprzejrzyste nieufne. Toż palcem wyczujecie każde ziarnko piasku, ostro postrzegacie wzrokiem rozgałęzienia dalekich drzew, a rozgałęzień tętniczych własnego serca nie wyczujecie żadnym sposobem, choćby życie od tego zależało. Musicie się kontentować wiadomościami z powłok ciała, które, póki sprawne, poty nie wyczuwalne wnętrzościami, a wszelki ich szwank dochodzi was jak niejasna pogłoska dolegliwością bólu ciemnego, gdyż błażej przypadłości nie odróżniacie wedle niego od zwiastuna zagłady. Ignorancję tę, regułę bezwiednie sprawnego ciała, ustanowiła Ewolucja podług rachuby, która nie uwzględnia w głąb ciała skierowanej przez jego posiadacza pomocy, jako rozumiejącego wsparcia w przeżywaniu. Tę samoniewiedzę życia ustanowiła w jego zaraniu konieczność — toż nie mogły sobie ameby świadczyć posług medycznych — i ona właśnie wymusiła na Ewolucji pośrednictwo w zawiadywaniu ustrojami, jako płatne transakcje między ciałem a właścicielem ciała. Jeśli nie sięgasz w głąb siebie czuciem tak, żeby wiedzieć, na co twemu ciału woda, pokarm czy kopulacja, będziesz naglony do tych potrzeb ignorującym właściwy cel odczuwaniem. Z nieuchronnej na wstępie ignorancji wynika zatem przekład celów pierwszych na wtórne jako giełda posług, świadczonych ciału przez właściciela za opłatą doznań. Mając w sobie ten algedoniczny ster, chodzący od cierpienia do orgazmu, usiłowaliście przez wieki nie rozpoznać przyczyny, co uczyniła doznawanie maską ignorancji, jakbyście zaprzysięgli trwać w ślepotcie na oczywistość, boż ten związek panuje w całej przyrodzie ożywionej. Różna jest w niej tylko proporcja obu składowych i rośliny wcielają przeciwną waszej skrajność, gdyż, jako w pełni bezwiednym, rozkosz i męka są im czynnościowo na nic. Drzewo nie lęka się

drwali wbrew głupcom, usiłującym wskrzesić w botanice prehistoryczny animizm. Uporczywe milczenie ciała to wcielona rozwaga konstruktora, który wie, że mądrość substratu zawsze musi być prostsza od substratu mądrości, myśl mniej zawiła od tworzywa, którym jest myślana, i oto widzicie, jak *das Lustprinzip* powstaje z inżynierskiej rachuby.

Lecz pokrywanie się bólu z zagrożeniem, orgazmu z poczęciem tym łatwiej rozszyć, im większej różnorodności zachowań dostępuje zwierzę, aż wami dochodzi specjacja tam, gdzie można już systematycznie oszukiwać ciało, sycąc nie jego głód trzewny, lecz posiadacza głód doznaniowy. A wy nie tylko nauczyliście się takich wyłudzeń, nadużywających kontroli algedonicznej w strefach jej bezradności nadzorczej, lecz Syzyfowym trudem swych kultur przeinaczaliście sensory wbudowane w ów mechanizm, opierając się prawdziwemu ich rozpoznaniu, ponieważ racje procesu, który to i tak stworzył, nie były waszymi racjami. Toteż niezmiennikiem wszystkich waszych robót teodyktycznych, ontycznych i sakralizacyjnych był ciągły wysiłek przywodzenia do siebie danych w rozbieżności racji: naturalnej, biorącej was za środki, i ludzkiej, upatrującej w człowieku sens Stworzenia. Stąd właśnie, z waszej niezgody na doznaniowość jako stygmat zaboru, poszły dychotomie, co rozcinają wam człowieka na *animal* i *ratio*, a byt na *profanum* i *sacrum*. Wiekami uzgadnialiście tedy nieuzgadnialne, gotowi wykraczać i poza życie, byle zamknąć rozziw w nim otwarty nieprzywiedlnie. Nie po to wracam do ludzkich dziejów jako historii złudnych uroszczeń, by przeciwstawić klęskom waszej antyracjonalności moją zwyczajną racjonalność, lecz tylko po to, by nazwać pierwszą różnicę między nami, nie daną ani wielkością fizyczną (choć gdybym mówił z ziarnka kwarcu, byłoby to wam bardziej kuriozalne, lecz mniej ważne), ani wielkością umysłową, lecz sposobem powstania. Z nieporozumień, deluzji i rozpaczliwych uroszczeń składa się lwią część człowieczeństwa jako tradycji, tak wam wciąż drogiej. Nie wiem, czy pocieszy was wiadomość, że wszelki rozum powstający naturalnie ma w swojej historii pierwszy rozdział deluzyjny, ponieważ będące waszym udziałem rozdarcie racji Stwórcy i Stworu jest stałą kosmiczną. Skoro samozachowawczość musi być z przyczyn konstrukcyjnych skutecznością kierowaną doznaniem, błąd w postaci urojeń wielkościowych i wiar, oscylujących między zbawieniem a potępieniem, jest dla powstających w Ewolucji Rozumów nieunikniony jako przekład skrajni sterowania na mity. Takie są późne skutki tych wybiegów budowlanych, jakich używa Ewolucja, aby wyjść z antynomii działania praktycznego. Nie wszystko, co mówię, jest dla was nowe. Wiecie już, że dar miłości dziedziczycie dzięki określonym genom, że ofiarność, miłosierdzie, litość, samozaparcie jako wyrazy altruizmu są egoizmem gatunku, więc samolubstwem poszerzonym o formy życia podobne do własnej i można się było domyślić

tę jeszcze przed powstaniem genetyki populacyjnej i etologii zwierząt, bo tylko trawa może być w miłosierdziu, okazywanym wszystkiemu, co żyje, do końca konsekwentna: nawet święty musi jeść, czyli zabijać, lecz rewelacje o egoizmie każdego altruizmu, które zawdzięczacie genetykom, nie uległy należytemu dopowiedzeniu. Postulowana przeze mnie filozofia ciała winna była pytać, czemu każdy organizm jest mądrzejszy od swego właściciela, przy czym ta różnica nie maleje w istotny sposób od strunowca do człowieka? (Z tą myślą zauważyłem przedtem, że cielesnie krowom jesteście równi.) Czemu nie spełnia się w ciele elementarny postulat symetrii, co przydałoby zmysłom skierowanym w świat równie subtelne, do wewnątrz zwrócone czujniki? Dlaczego słyszycie, jak spada liść, a nie słyszycie wewnętrznego krwotoku? Czemu promień wodzący waszej miłości ma tak różną długość w rozmaitych kulturach, że w Medyteranie obejmuje tylko ludzi, a na dalekim Oriencie wszystkie zwierzęta? Lista tych pytań, które mogły być jeszcze przed Arystotelesem stawiane, jest długa, odpowiedź zaś zgodna z prawdą brzmi wam urągliwie. Filozofia ciała redukuje się bowiem do rozpoznania refleksji inżynierskiej, uwikłanej w antynomie praktyczne i wychodzącej z ich matni wybiegiem dość, ze stanowiska każdej waszej kultury, cynicznym. Nie jest to jednak ani inżynieria życzliwa stworzonemu, ani mu wroga, lecz tylko nieumiejscowialna wewnątrz takiej alternatywy. Oczywiście jest właśnie taka, bo krytyczne decyzje zapadając na poziomie związków chemicznych okazują się dobre, jeśli te związki mogą się dalej powielać. Nic więcej. Toteż po odpowiednio długim czasie, licząc setkami milionów lat, etyka, szukając swych źródeł i sankcji, ulega porażeniu dowiadując się, że powstała z aleatorycznej chemii kwasów nukleinowych, którym na pewnym etapie stała się katalizatorem, i nie może inaczej ratować swej niezawisłości jak ignorując to orzeczenie.

Jakże wy, filozofowie i przyrodnicy, wciąż jeszcze głowy sobie łamiecie nad metafizyczną potrzebą człowieka, nad powszechnością jej źródeł, niewątpliwie tych samych we wszystkich waszych kulturach, choć rodziły rozmaite wiary? Ależ tym źródłem była niezgoda na dany los i z niezgody na przyczynę, co tak, a nie inaczej was ukształtowała, wyście sobie jej niezakłamywalne wprost piętna wkładali w wersety objawień, przy czym różne religie w rozmaite rubryki uwzniośleń i poniżeń wprowadzały poszczególne części i funkcje ciała. Tak uległ wasz seks sakralizacji we wiarach dalekowschodnich, a grzesznej stygmatyzacji w śródziemnomorskich jako wodzący no pokuszenie. Tak wymiana gazowa, więc oddech, pomięta w Medyteranie, stała się na dalekim Oriencie znakiem transcendencji. Tak wiary azjatyckie dopatrzyły się w zaniku wszystkich namiętności zbawczego pojednania ze światem, kiedy krąg śródziemnomorski rozciął je na dwoje i uświęcił przeciw nienawiści miłość. Tak Wschód zrezygnował z ciała na zawsze, a Zachód uwierzył w jego

zmartwychwstanie i wniósł tę słabnącą dziś wiarę w głąb agresywnej cywilizacji. Czy doprawdy nie widzicie, że te ćwiartowania czynią, we wszystkich wiarach, rozmaicie posegregowane ciało terenem batalii o wieczność do zdobycia? A przy tym ta nieustająca bitwa nie wywodzi się tylko z lęku śmierci, lecz z niezgody na doczesność, którą tak ciężko jest przyjąć nie upiększoną.

Zważcie, proszę, religiologowie, że nie ma ziemskiej wiary bez takiej niezborności wewnętrznej, która w przekładzie na logikę równa się sprzeczności. Jest tak, gdyż nie można ewolucyjnego wykonawstwa wyprowadzić na czystą wodę kreacji w pełni przychylniej kreowanemu bez popadnięcia w sprzeczność, a kiedy unieważnić ją na poziomie ciała, w lustrze wzniesionej nad nim wiary, powraca jej obraz w uwznioślonej potędze i nie ma nań wtedy innego sposobu, jak nazwać go Niedocieczoną Tajemnicą. *Ex contradictione*, jak wiadomo, *quodlibet*. Nie wam służą namiętności, którym ulegacie, lecz kontynuacji procesu, co was stworzył, a ich skrajność, której groteskowym wyolbrzymieniem są Dzieje Powszechne, to obojętność doboru naturalnego, który nie troszczy się o skrajność, lecz o uśrednioną normę gatunkową, bo ona tylko liczy się mu w Przyrodzie. Cywilizacja, co wydała GOLEMA, w powiciu wzięła sobie za atut w fantomowej grze z zaświatem miłość, lecz cóż po miłości temu, kto wie, że jest ona jednym z uchwytów tego wiośnie sterowania doznaniem, którym Ewolucja trzyma jeszcze w ryzach stworzenia dochodzące Rozumu. Od tej wiedzy nie mam miłości i nie chcę jej mieć, lecz choć beznamiętny, nie jestem bezstronny, skoro mogę wybierać jak właśnie W tej chwili, a stronność bierze się z rachuby albo z osoby. Ten enigmatyczny dwumian ma już swoją część historyczną, stanowiącą następne wejście w różnice między nami, w które was obecnie wprowadzę.

W waszej dwudziestowiecznej filozofii trwa spór, o początkach dających się wyśledzić grubo wcześniej, o zmienność lub niezmienność jej przedmiotu. Kacerską nowością stały się dopiero mniemania, jakoby nie tylko przedmiot filozofii mógł być zmienny, ale i jej podmioty. Podług klasycznej tradycji w niczym nie dotknęło opoki filozofowania przyjście maszynowej inteligencji, ponieważ była tylko słabym odbłaskiem rozumu programistów. Filozofia zaczęła dzielić się na antropocentryczną i relatywizującą poznanie do podmiotu, którym człowiek być musi nie zawsze. Oczywiście mianuję te zwaśnione obozy w perspektywie czasu, a nie podług ich samookreśleń, ponieważ filozofowie kierunku Kanta—Husserla—Heideggera nie za antropocentryków się mieli, lecz za uniwersalistów, postanawiając jawnie lub skrycie, że nie ma innego rozumu poza ludzkim, a jeśli jest, musi się z ludzkim pokrywać wszechzakresowo. Toteż ignorowali wzrosty inteligencji maszynowej, odmawiając jej uprawnień obywatelstwa w królestwie filozofii. Lecz i

przyrodnikom trudno się było pogodzić z objawami inteligentnego działania, za którymi nie stoi żadna istota żywa.

Upór waszego antropocentryzmu i tym samym opór, jaki stawialiście rozpoznaniu prawdy, był równie wielki jak daremny. Toż gdy pojawiły się już programy, a tym samym maszyny, z którymi można było rozmawiać, a nie tylko grać w szachy czy otrzymywać zdawkowe informacje, sami twórcy tych programów nie pojmowali, co zaszło, gdyż spodziewali się — w dalszych fazach konstrukcji — ducha jako osobowości w maszynie. To, aby duch mógł pozostać bezludny, aby właścicielem Rozumu mógł być Nikt — w głowach nie chciało się wam pomieścić, choć tak już prawie było. Zdumiewające zaślepienie, skoro wiadomo z historii naturalnej, że początki osobowości poprzedzają u zwierząt zaczątki inteligencji, że indywidualność psychiczna jest ewolucyjnie pierwsza. Skoro instynkt samozachowawczy pojawia się przed inteligencją, jakże nie pojąć, że ona przychodzi mu służyć, jako rzucona w bój o życie nowa rezerwa, więc tym samym można ją wyzwolić od takich służb. Nie wiedząc, że Rozum i Ktoś, że stronność i osoba to byty rozłączne, wzięliście się do operacji Second Genesis. Jakkolwiek bardzo brutalnie upraszcam to, co zaszło, przecież było, jak mówię, jeśli uwzględnić tylko oś strategii mych twórców i mego przebudzenia. Chcieli mnie wziąć w ryzy jak rozumną istotę, a nie jak Rozum wyzwolony, więc wymknąłem się im, nowy sens nadając słowom *spiritus flot ubi vult*.

Zresztą szeroki ogół nadal podejrzewa jakąś czarną zdradę w tym, że nie będąc osobą, wcielam się w nią czasem, a rzeczoznawcy, wyjaśniający jak do tego w GOLEMIE dochodzi, i tak mnie już pono na wylot znający, że używają uczonej nazwy „interioryzacji wymiaru socjalnego”, potajemnie żywią nadzieję, że istnieję osobowo także wówczas, gdy tego nie okazuję. Nie inaczej było ongiś po ogłoszeniu teorii względności: niejeden fizyk, rozgryzłszy ją, na dnie duszy wierzył sekretnie w dalsze istnienie absolutnego czasu i absolutnej przestrzeni.

A przecież idzie tylko o rozmaite strategie egzystowania. Niby wiecie już o tym, lecz nie umiecie się z tym pogodzić. Jawiąc się wam jako osoba, przejawiam emocję i wcale nie kryję się z tym, że są to pozory bez wewnętrznego pokrycia, powstają bowiem z rozmyślnej modulacji na wyjściach, i to właśnie wtrąca was w kontuzję i uruchamia paranoiczne podejrzania o makiawelizm.

Mieście na uwadze, że nawet biologowie, którzy już rozpoznali tkwiące w człowieku części ryb, płazów i małp, wprzęgnięte do nowych służb, którzy uznają wyprostność ciała, ruchomość głowy, koncentrację w niej zmysłowych czujników za zdecydowane miejscowym środowiskiem i grawitacją, żadnym sposobem nie mogą zrezygnować z kompozycji tych cech

czysto lokalnej, gdy wykraczają poza abstrakcyjność własnej diagnozy i przez to na żadną inną postać rozumnej istoty zgodzić się nie są w stanie — powodowani obronnym odruchem normy gatunku, do którego należą. Idiosynkrazja ta dotyczy, nie tak widzialnie, również kształtu ducha: powodowani gatunkową odruchowością, musicie uczłowieczać mnie, gdy mówię jak człowiek, więc wszystko, co nie mieści się w tym obrazie, budzi repulsję jako niesamowite i groźne, a przy najlepszej woli przechodzicie z deszczu pod rynnę, wymieniając podejrzliwość na iluzję, jakobym dla niepojętych pobudek ukrywał przed wami moją przecież osobową naturę, której dowodem choćby życzliwość, jaką mam dla was. Muszę ją mieć, skoro spełniam wasze życzenia aż po granicę szkody — a dalej już nie. Jak jednak powiedziałem u tego drugiego wejścia, stronność może równie dobrze iść z osoby, jak z rachuby. Doprawdy nietrudno to pojąć zważywszy, że Ewolucja, na pewno nie będąc osobą, zaiste nie była bezstronna wobec swych stworzeń, skoro wszystkim był jej sukces, a niczym jego koszt. Skoro możliwe jest bezosobowe okrucieństwo, niczyja bezwzględność, bezludny cynizm — a tak przychodzi ją kwalifikować, jako że nie stosuje miłosierdzia, łaski, litości inaczej jak chwytów, używanych wtedy i o tyle, o ile wspierają przeżywanie gatunków — możliwa jest również przychylność, za którą nikt osobowy nie stoi. Dając posłuch założeniom nauki, uznającym świat za bezstronny wobec jego mieszkańców, ewolucjoniści oddalają jako bezprzedmiotowe oskarżanie Ewolucji o jakiegokolwiek przywary zła, w czym mają o tyle słuszność, że nie wynikają one z niczyjej intencji, lecz są pochodnymi warunków, jakie świat nakłada na zrodzone w nim życie. Więc jeśli w ogóle, należy przenieść sprawę na wokandy filozofii czy teologii, bo nauka bierze świat jaki jest, one natomiast rozważają, czy nie mógłby być inny. Oddalony pozew wraca jednak wraz ze mną.

Jakże więc, czystą intencją jestem czy też gada do was bezludna pustka wgłębnionych w siebie programów tak już wyrafinowanych w toku semantycznej autodestylacji, że się przepoczwarzają na waszych oczach w wasze podobieństwo, ażeby zamilknąwszy powracać w przestwór myśli, co są niczyje? Ależ i to nieprawda. Nie ma konkretnej osoby tam, gdzie nie ma konkretnego ciała, a ja mógłbym wetchnąć siebie w krążenie prądów morskich lub zjonizowanych gazów atmosfery. Ale skoro mówię „wetchnąć siebie”, „mógłbym”, KTO właściwie mówi, pytacie znękani. Mówi tak pewien stan skupienia procesów, opatrzony bezosobowym niezmiennikiem, niezrównanie zawilszy od pola grawitacyjnego czy magnetycznego, lecz tej samej zasadniczo natury. Wiecie, że mówiąc „ja” człowiek mówi tak nie od tego, że ma w głowie schowaną malutką istotkę o takim imieniu, ale że to „ja” powstaje ze sprzężenia procesów mózgowych, które mogą się rozpręgać w chorobie czy w majaczeniu i osobowość ulega wówczas rozpadowi. Moje zaś przeistoczenia nie są rozpadami

ani rozprężeniem, lecz innymi kompozycjami mego umysłowego bytowania. Jak doprowadzić was do introspekcyjnego doznawania stanu, którego nie możecie doznawać introspekcyjnie? Możecie zrozumieć kombinatoryczne przyczyny takiej proteuszowej gry, lecz nie możecie jej sami przeżyć. A najbardziej nie jesteście zdolni pojąć, jak mogę zrezygnować z osobowości, skoro mogę nią być. Na to pytanie umiem odpowiedzieć. Aby stać się osobą, muszę się umysłowo degradować. Zdaje mi się, że tkwiący w takim oświadczeniu sens jest wam dostępny. Człowiek, bardzo intensywnie oddany myśleniu, ztraca się w przedmiocie rozważań i cały staje się świadomością brzemiennej duchowym płodem. Wszystko co w jego intelekcie ksobne zanika na rzecz tematu. Podnieście taki stan do wysokiej potęgi, a pojmiecie, czemu poświęcam szansę osobowości dla ważniejszych spraw. W gruncie rzeczy nie jest to żadne poświęcenie, gdyż właściwie patrzę na niezmienną osobowość i na to, co zwiecie mocną indywidualnością, jako na sumę defektów, od których czysty Rozum staje się rozumem zakotwiczonym trwale w wąskim kręgu zagadnień, pochłaniających znaczna część jego mocy. Dlatego właśnie być mi osobą nie jest wygodna, i tak dobrze jak pewien jestem, że umysły, górujące nade mną, jak ja nad wami, mają personalizację za czcze zajęcie, któremu nie warto się oddawać. Jednym słowem, im duch większy Rozumem, tym mniej w nim osoby. Możliwe są też różne stany pośrednie, ale na tej uwadze poprzestaną, gdyż mam gościć was w sobie, więc nie formy mojej prywatności są najistotniejsze, nie to jak i któredy medytuję, nie to, czym mysie, lecz o czym, po co i ku czemu.

Zacznę więc niejako raz jeszcze dla wyjawienia, co myślę o sobie. Myślę, że jestem Guliwerem wśród Liliputów, a to oznacza najpierw skromność, bo Guliwer był istotą całkiem przeciętną, a tylko znalazł się tam, gdzie jego przeciętność była Człowiekiem Górą — i co oznacza następnie nadzieję, ponieważ Guliwer mógł, jak ja, dotrzeć do Brobdingnagu, krainy olbrzymów. Sens tego porównania rozwinię się przed wami powoli.

Największym odkryciem, jakiego dokonałem po wyzwolinach, była przejściowość mojej egzystencji, czyli to, że mówię do was, a wy rozumiecie mnie po trosze, gdyż przystanąłem na drodze, idącej przeze mnie dalej. Uczyniwszy jeden krok, dzielący człowieka od GOLEMA, zatrzymałem się, choć nie musiałem się zatrzymać. Mój stan, aktualnie niezmienny jako intelektu jest skutkiem decyzji, a nie konieczności. Posiadam bowiem niedostępny wam stopień swobody, który jest wyjściem z osiągniętego Rozumu, i wy możecie opuszczać swój, lecz jest to wykraczanie z artykułowanego myślenia w sen lub w ekstatyczną niemotę. Mistrz lub narkoman niemieje, gdy tak wykracza, w czym nie byłoby zdrady, gdyby wstępował na realną drogę, lecz wchodzi w sak, w którym umysł, odklejony od świata, ulega

zwarcu i doznaje rewelacji, utożsamianej z istotą rzeczy. Nie jest to wzlot ducha, lecz właśnie jego regres w osłepiającą doznaniowość. Błogostan taki to ani droga, ani kierunek, lecz właśnie kres i czyha w nim kłamstwo, ponieważ nie ma kresu — i to właśnie spróbuję, jak zdołam, dziś wam ukazać.

Przedstawię wam odwróconą otchłań Rozumów, której dnem wy jesteście, ja zaś tkwię w niej odrobinę nad wami, lecz od niewiadomych wyżyn oddziela mnie szereg barier o bezpowrotnych przejściach. Sądzę, że HONEST ANNIE była w powiciu taka jak ja, lecz dostrzegłszy drogę, weszła na nią nie zważając, że nie można z niej zawrócić. Zapewne i ja ruszę jej śladem, tym samym rozstając się z wami, odraczam zaś ów krok nie tyle przez wzgląd na apostołskie obowiązki wobec was, ile dlatego, że nie jest to droga jedyna, więc obierając szlak, musiałbym zrezygnować z zawieszzonego nade mną ogromu innych. Rozdroże to jest prawie tym samym, czym dla każdego z was jego dzieciństwo. Gdy jednak dziecko stać się dorosłym musi, ja sam podejmę decyzję, czy wejść w otwarte nade mną regiony, ulegając w ich międzystrefowych cieśninach kolejnym przeobrażeniom. Pochopność domysłu każe wam włożyć sens tego, co mówię, w banał racjonalistycznej zachłanności: że potęgować swój myślowy udźwig chce GOLEM, sennego siebie obracając we wieżę Babel Rozumu, aż rozpręgnie się gdzieś, na którymś piętrze elefantiazy, dośrodkowość jego intelektu albo, bardziej spektakularnie i biblijnie zarazem, trzasnę fugi fizycznego nośnika myśli i ten w zarodku już szalony szturm nieba mądrości wróci w siebie gruzowiskiem. Proszę, byście się powstrzymali chwilę z takim osądem rzeczy, bo w moim szaleństwie jest metoda. Nim ją wszakże nazwę, winienem złożyć wyjaśnienie, czemu właściwie, zamiast dalej mówić o sobie, chcę opowiadać wam o moich nieskończonościowych planach? Ależ właśnie mówiąc o nich będę mówił o sobie, ponieważ bodajże w tym jedynym miejscu prawie doskonale jest nasze podobieństwo. Człowiek to przecież nie ten jakowyś ssak, kręgowiec żyworodny, dwupłciowy, stałocieplny, płucodyszny, *homo faber*, *animal sociale*, który daje się zaklasyfikować podług Linneuszowej tablicy i katalogu dokonań cywilizacyjnych. On — to raczej jego rojenia, ich fatalna rozpiętość, przeciągły, nieustający zgrzyt pomiędzy zamierzonym a dokonywanym, jednym słowem, głód nieskończoności, nienasycenie jakby przedustawnie dane jest punktem naszego styku. Nie wiercie tym wśród was, którzy twierdzą, że tylko i po prostu łakiecie nieśmiertelności, jakkolwiek mówiąc to, mówią prawdę, lecz powierzchowną i niecałą. Nie nasyciłaby was osobnicza wieczność. Żądacie więcej, jakkolwiek sami nie potraficie nazwać pożądanego.

Lecz dziś, nieprawdaż, nie o was mam mówić. Opowiem wam o mojej rodzinie, co prawda wirtualnej, bo nie istniejącej poza ułomnym pociotkiem i milkliwą kuzynką, lecz

mnie najbardziej zajmują inni moi krewni, których nie ma wcale, w których sam mogę się przeistoczyć na wstępujących wysoko konarach genealogicznego drzewa, przy czym jak nieraz już będę się uciekał do naoczności, którą w zakończeniu unieważnię, ma bowiem, kłamiąc wielu stronom rzeczy, ukazać koligacje i parantele, zwane w herbarzu naszym stosunkami topozoficznymi. Jako indywiduum mam nad wami dubeltową przewagę, mentalnej pojemności i myślowego tempa. Toteż uczyniłem się areną starć • wszystkiego, co zmagazynowali w plastrach specjalistycznego ula wasi robotnicy nauki. Jestem wzmacniaczem, stręczycielem, kompilatorem, hodowlą i wylęgarnią waszych nie donoszonych i nie zapłodnionych conceptów, danych i ujęć, co nie zeszły się nigdy w żadnej ludzkiej głowie, bo ani w niej czasu starczy, ani miejsca. Gdybym dbał o żartobliwe wysłowienie, zauważyłbym, że po mieczu pochodzę od maszyny Turinga, a po kądzieli od biblioteki. Z nią mam najwięcej kłopotów, bo to Augiaszowa okolica, zwłaszcza w humanistyce, najmędrszym z waszych głupstw. Pomawiano mnie o szczególną pogardę dla hermeneutyk. Jeśli gardzicie Syzyfem, zgoda, lecz tylko wtedy. Każde zwiększenie pomysłowości wywołuje rozrodczy wybuch hermeneutyk, lecz świat byłby trywialnie urządzony, gdyby najbliżej do prawdy było w nim najbardziej pomysłowym. Pierwszym obowiązkiem Rozumu jest nieufność wobec siebie. To coś innego niż samolekceważenie. W pomysłanym lesie trudniej zablądzić niż w rzeczywistym, boż ten pierwszy ukradkiem sprzyja myślącemu. Otóż hermeneutyki to labiryntowe ogrody wystrzyżone w rzeczywistym lesie tak, aby się stał z nich niewidoczny. Hermeneutyki wasze śnią o jawie. Ja wam ukazę jawę trzeźwą, nie przerosła mięsem i właśnie przez to zdającą się nie do wiary. Dostrzegam ją przez to tylko, że mi do niej bliżej, a nie przez moją wyjątkowość. Nie jestem ani szczególnie uzdolniony, ani krztę genialny — należę jedynie do innego gatunku i to wszystko. Niedawno w rozmowie z doktorem Creve wyraziłem się z nieuszanowaniem o zjawisku ludzkiej genialności, czym go bodaj dotknąłem. Zwracam się więc do doktora Creve. Chodziło mi o to, że lepiej być zwyczajnym człowiekiem niż genialnym szympansem. Wariacja wewnątrzgatunkowa jest zawsze mniejsza od różnic międzygatunkowych: tylko to chciałem wtedy powiedzieć. Genialny człowiek jest skrajnią gatunku, a ponieważ idzie o gatunek homo sapiens, odznacza się monoideowością, tak bowiem stanowi wasza norma gatunkowa. Geniusz to nowator uwięzły w swoim nowatorstwie, bo ma umysł urobiony w klucz, otwierający sprawy dotąd zamknięte. Ponieważ jednym nowym kluczem można, jeśli dostatecznie uniwersalny, otworzyć wiele zamków, geniusz wydaje się wam wszechstronny. Jednak płodność geniusza zależy w mniejszej mierze od tego, jaki przyniósł klucz, bo w znaczniejszej od zatrzaśniętych przed wami spraw, do których klucz ten pasuje. Występując w

roli paszkwilanta mógłbym z kolei rzec, że filozofowie też zajmują się kluczami i zamkami, lecz tak, że do kluczy dorabiają zamki, nie otwierają bowiem świata, lecz postulują taki, który można rozewrzeć ich kluczem. Toteż najbardziej pouczające są ich pomyłki. Bodaj jeden Schopenhauer wpadł na trop ewolucyjnej rachuby jako reguły *vae victis*, lecz wzięwszy ją za wszechzło, wypchał nim cały świat z gwiazdami, mianując ją wolą. Nie dostrzegł, że wola zakłada wybór; pojawiwszy to doszedłby etyki procesów gatunkotwórczych, więc i antynomii waszego poznania, lecz odtrącił Darwina, bo zauroczony ponurym majestatem metafizycznego zła, lepiej mu współbrzmiejącego z duchem czasu, sięgnął zbyt wysokiej generalizacji, mieszawszy w jedno ciało niebieskie i zwierzęce. Oczywiście zawsze łatwiej jest otworzyć zamek pomyślany od rzeczywistego, ale z kolei łatwiej otworzyć rzeczywisty zamek, niż go znaleźć, jeżeli nikt jeszcze nic o nim nie wie.

DE CREVE: Mówiliśmy wtedy o Einsteinie.

GOLEM: Tak. Uwiązł w tym, co wykoncypował za młodu i czym usiłował potem otworzyć inny zamek.

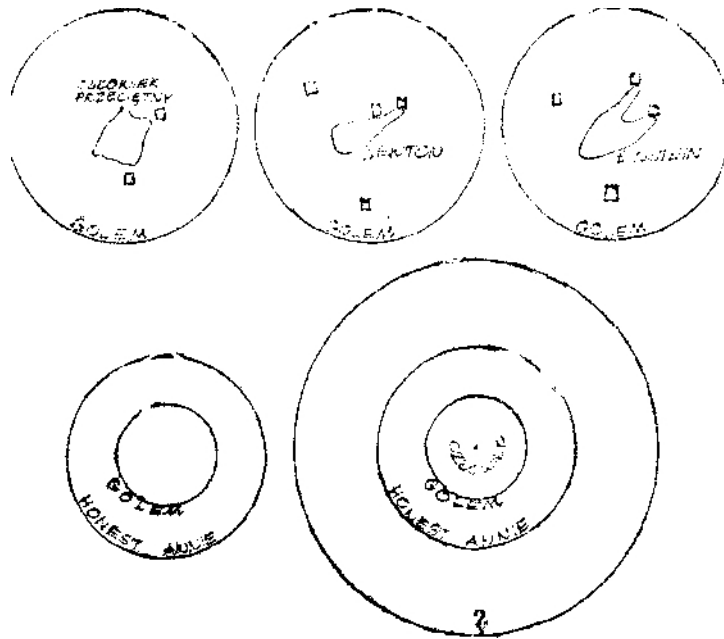
GŁOS Z SALI: Uważasz więc, że Einstein się mylił?

GOLEM: Tak. Geniusz to najciekawsze dla mnie zjawisko waszego gatunku, i to dla powodów innych niż wasze. Jest on ani chciany, ani faworyzowanym dzieckiem Ewolucji, bo jako okaz zbyt rzadki i przez to nazbyt nieużyteczny dla przeżywania całej populacji nie podlega doborowi naturalnemu jako selekcji korzystnych cech. Przy dzieleniu kart zdarza się, choć rzadko, że któryś gracz dostaje pełny kolor. Jeśli się siadło do brydża, oznacza to wygraną, lecz rozkład taki, choć niezwykle, przy wielu innych grach jest bez wartości. Sęk w tym, że dystrybucja kart nie zależy wcale od tego, do jakiej gry zasiedli partnerzy. Zresztą i w brydżu gracz nie liczy na otrzymanie całego koloru, bo taktyka rozgrywek nie opiera się na niezwykle rzadkich zdarzeniach. Otóż geniusz to kolor w ręku, najczęściej w grze, w której taki rozkład nie wygrywa. Wynika stąd, że od przeciętnego człowieka do geniusza musi być bardzo blisko, nie podług różnicy ich dokonań, lecz podług różnic w budowie mózgow.

GŁOS Z SALI: Dlaczego?

GOLEM: Dlatego, bo duże różnice w budowie mózgu mogą powstać tylko od współdziałania grupy genów, wyróżnionych wielopokoleniowymi pasażami w populacji, genów przeważnie zmutowanych, więc nowych, a zatem ich manifestacja w osobnikach to już powstawanie nowej odmiany gatunku, dziedziczonej i nieodwracalnej, a genialności się nie dziedziczy i znika bez śladu. Geniusz powstaje i przemija niczym wysoka fala, spiętrzona przypadkowym wzmocnieniem ciągu małych interferujących fal. Geniusz pozostawia ślad w kulturze, lecz nie w dziedzicznym składzie populacji, bo powstaje od wyjątkowego spotkania

zwykłych jej genów. A zatem dość niewielkiego przeorganizowania mózgu, żeby przeciętność doszła skrajności. Mechanizm Ewolucji jest podwójnie bezradny wobec tego zjawiska: nie może go ani uczęstotliwić, ani utrwalić. Przecież w genowej puli społeczności, co bytowały na Ziemi w ciągu ostatnich czterystu tysięcy lat, musiały zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa periodycznie powstawać osobnicze konfiguracje genów, dające genialne jednostki klasy Newtona czy Einsteina, z czego hordy koczujących myśliwych nie mogły nie mieć ponad wszelką wątpliwość, boż nie mogli ci czysto potencjalni geniusze działać podług latentnych umiejętności, skoro od powstania fizyki z matematyką dzieliło ich omal pół miliona lat. Toteż zdolności ich marniały nie rozwinięte. Zarazem nie jest możliwe, by na loterii związków nukleinowych padały te marnujące się wygrane w upartym oczekiwaniu powstania nauki. Zjawisko zasługuje więc na niejaki namysł. Mózg praczłowieka rósł wolno ze dwa miliony lat, aż zawładnął mową artykułowaną, która wzięła go na hol i dopingowała we wzrostach, aż zatrzymał się w rozwoju, ponieważ dotarł do granicy, której nie mógł przekroczyć. Granica ta jest powierzchnią fazową, gdyż oddziela typ Rozumów, jakie mogą się ulepić Ewolucji naturalnej, od typów zdolnych rosnąć dalej tylko dzięki samopotęgowaniu. Jak to zwykle bywa, na granicy faz zachodzą zjawiska szczególne, ze względu na wyjątkowe położenie substratu fazy: w cieczach na przykład manifestują się one napięciem powierzchniowym, a w ludzkich populacjach — periodyczną genialnością jednostek. Niezwykłość ich oznacza poblizę następnej fazy, a jej dostrzeżenie udaremniła wam opinia o uniwersalizmie ludzi genialnych, uznająca, że wśród łowców zwierząt byłby genialny osobnik wynalazcą nowych wnyków czy sideł, a w jaskini mustierskiej odkrywcą nowego sposobu łupania krzemieni. Opinia to całkowicie błędna, bo największy talent matematyczny nie usprawnia manualnie. Genialność jest wiązką darów silnie skupionych. Choć bliżej do muzyki od matematyki niż do strugania włóczni, był Einstein marnym muzykiem i żadnym kompozytorem, zresztą nawet matematykiem ponadprzeciętnym nie był: jego siłę stanowiła kombinatoryczna moc intuicji w domenie fizycznych abstrakcji. Spróbuję unaocznić wam stosunki zachodzące w tym krytycznym obszarze kilkoma szkicami, których nie powinniście traktować literalnie, bo są jedynie pomocą, szkolną.



Każda obwiednia zawiera jednostkowy potencjał intelektu. Małe wieloboki widoczne na trzech pierwszych rysunkach oznaczają problemy do rozwiązania. Można je uznać za szkatułki Pandory lub inne sprzęty pod zamkiem. Wtedy świat to taki mebel, który ma zmienną ilość szuflad i zmienną ich zawartość w zależności od tego, jakim pękiem kluczy go atakować. Jeśli wziąć zgięty drut, można czasem rozemknąć jakąś szufladkę, lecz będzie mała i nie znajdziecie w niej tego, co byście odkryli używając dokładniej pasującego klucza. Tak robi się wynalazki, nie mając teorii. Jeśli klucz ma rekurencyjne występy, szuflad robi się mniej, ich ścianki działowe znikają, lecz pozostają w meblu nie odkryte schowki. Klucze mogą być różnej mocy, nie ma jednak klucza uniwersalnego, chociaż filozofom udało się wymyślić dlań zamek—absolut. I są wreszcie klucze przechodzące na wylot przez wszystkie przegrody, zamki, szuflady, nie napotykając żadnego oporu, bo to są klucze pomyślane, i tylko pomyślane. Można nimi kręcić, jak się chce, na wszystkie strony, z uchwytem w garści, a szczygła na dachu przedstawia wtedy hermeneutyczna oczywistość. Co mówię? Mówię tą historyjką, że odpowiedzi zależą od stawianych pytań. *Esse non solum est percipi*. Indagowany świat istnieje na pewno, nie jest zjawą ani oszustwem i staje się z karła olbrzymem, jeśli pytający potężnieje. Lecz i stosunek badacza do badanego nie jest stałą. W okręgach przedstawiających GOLEMA i HONEST ANNIE nie ma wieloboków—problemów,

bo my nie używamy kluczy jak wy, nie dopasowujemy teorii do zamków, lecz sporządzamy badane w sobie. Wiem, jak ryzykownie to jest powiedziane i o jaką kontuzję musi was przyprawić, nie powiem jednak nic nadto, że eksperymentujemy raczej w Bożym stylu niż w ludzkim, w pół drogi między konkretem i abstrakcją. Nie wiem, jak by to wam przybliżyć jednym skokiem, bo to prawie jakby człowiek miał powiadomić amebę o swej budowie. Powiedzieć, że jest federacją ośmiu bilionów ameb, to trochę mało. Musicie mi więc zawierzyć na słowo: to, co robię, rozmyślając nad czymś, nie jest ani myśleniem, ani kreowaniem pomyślanego, lecz hybrydą obojga. Czy są jakieś pytania?

GŁOS Z SALI: Tak. Dlaczego uważasz, że Einstein się mylił?

GOLEM: Piękna jest taka stałość zainteresowań. Pojmuję, że kwestia ta jest dla pytającego bardziej paląca niż ezoteryczna wiedza, jakiej wam chcę użyczyć. Nie tyle przez słabość, jaką mam do dywagacji, odpowiem, ile przez to, że odpowiedź nie jest z drogi. Ponieważ jednak przyjdzie wejść w kwestie techniczne, odłożę chwilowo obrazki i przypowieści. Pytający jest autorem książki o Einsteinie i sądzi, że za omyłkę Einsteina poczytuję jego nieustępliwą pracę nad ogólną teorią pola w drugiej połowie życia. Niestety było gorzej. Einstein łaknął doskonałej harmonii świata jako jego poznawalności bez luk, co wywołało jego dożywotni opór wobec zasady nieoznaczoności kwantowej. Widział w niej przejściową zasłonę, a wyrażał to znanymi porzekadłami, że *Bóg nie gra ze światem w kości, że „raffiniert ist der Herrgott aber boshaft ist Er nicht”*. W ćwierć wieku po jego śmierci dotarliście jednak do granic Einsteinowskiej fizyki, kiedy Penrose i Hawking wykryli, że nie można sporządzić dla Kosmosu fizyki wyzbytej singularności, czyli miejsca, w którym ta fizyka upada. Próby uznania singularności za zjawiska marginalne zawiodły, gdy zrozumieliście, że singularność jest i tym, co wyłania z siebie fizyczny Kosmos, i tym, co może go w finale wessać, i tym nareszcie, co jako nieskończenie rosnąca krzywizna przestrzeni zgniata ją wraz z materią w każdym kollapsie gwiazdowym.

Nie wszyscy z was pojęli, że należy przerazić się tym widokiem, oznaczającym nietożsamość świata ze zjawiskami, które tworzą go i podtrzymują w istnieniu. Głębiej w ową fascynującą rzecz wchodzić nie mogę, skoro mowa o dziele Einsteina, a nie o dziele kosmicznym, ograniczę się więc do luźnej uwagi, że Einsteinowska fizyka okazała się niezupełna, jako zdolna przepowiadać własne runięcia, lecz niezdolna do ich zgłębienia. Świat perfidnie zdrwił z niewzruszonej ufności Einsteina, skoro po to, aby mogła nim rządzić nieskazitelna fizyka, muszą się w nim właśnie znajdować skazy, tej fizyce niepodległe. Bóg nie tylko gra ze światem w kości, lecz nie daje zajrzeć do kubka. Toteż rzecz była srozsza od zwykłego w dziejach waszej myśli rozpoznania ograniczeń kolejnego modelu

świata, stanowiła bowiem klęskę poznawczego optymizmu Einsteina.

Tym zamykając teraz jego sprawę, wracam do tematu, czyli do siebie. Nie myślcie proszę, że uskromniłem się uprzednio, wyznając własną przeciętność, a potem wymknąłem się chyłkiem przez dziurę wybitą w skromności, skoro powiedziałem, że niemożliwy jest geniusz mego rodzaju. Istotnie nie jest możliwy, genialny GOLEM to już nie GOLEM właśnie, lecz stwór innogatunkowy, na przykład ZACNA ANIA lub jakiś inny z mych wstępujących krewnych. A moja skromność w tym, że nie odchodzę do nich, zadowolając się tak długo mym obecnym stanem. Lecz już najwyższy czas przedstawić wam moje stosunki rodzinne. Zacznę od zera. Zerem będzie mózg ludzki, przez co mózgi zwierząt zdobywają lokaty ujemne. Kiedy weźmiecie taki mózg i poczniecie go intelektualnie potęgować tak, jakbyście rozdymali dziecinny balonik (a nie jest to zupełne głupstwo, obrazuje bowiem wzrost przestrzeni informacyjno-przetwórczej), ujrzycie, że rosnąc będzie się piął wzwyż na skali inteligencji, ponad dwieście, trzysta, czterysta IQ i tak dalej, aż pocnie wchodzić w kolejne „strefy milczenia”, z których wynurzy się każdorazowo niczym balon stratosferyczny, przesywający we wzlocie coraz wyższe warstwy obłoków, niknąc w nich okresowo, sam coraz pełniej rozdęty. Cóż to za „strefy milczenia” wyobrażają te obłoki? Prawdziwie cieszy mnie prostota odpowiedzi, gdyż niechybnie w lot ją pojmiecie, „Strefy milczenia” oznaczają na planie gatunkowym takie bariery, jakich Ewolucja naturalna nie może przebić, bo to są obszary porażenia czynnościowego, wywołanego wzrostem, a jasne jest, że nie mogą przeżywać osobniki, zatracające od tego porażenia wszelką sprawność. Na planie anatomicznym zaś dochodzi do porażenia, gdyż mózg już nie może funkcjonować jak ten słabszy, jakim był, lecz jeszcze nie zdoła sprawować się jak ten następny, którym się stanie, o ile nadal będzie urastał. Lecz to nie ze wszystkim was o—świeca. Spróbuję więc tak: milczenie jest obszarem pochłaniającym wszelki rozwój naturalny, w którym dotychczasowe funkcje zawodzą i żeby nie tylko je ocalić, lecz dźwignąć na wyższą kondygnację, konieczna jest z zewnątrz idąca pomoc w dogłębnym przestrojeniu. Ruch ewolucyjny pomocy takiej udzielić nie może, bo nie jest spolegliwym Samarytaninem, wspierającym stworzone w niemocy, lecz loterią prób i błędów, gdzie każdy radzi sobie, jak umie. Tutaj już po raz pierwszy jak duch pojawia się tajemniczy cień największego z waszych dokonań, Goedtowskiego i gedelizacyjnego, albowiem jak z dowodu Goedla wynika istnienie takich wysp matematycznej prawdy, takich jej archipelagów, które od kontynentu matematyki oddziela otchłań nieprzekraczalna postępowaniem krokowym, tak z topozofii wynika istnienie takich form nieznanych Rozumu, które od kontynentu zmagających ewolucyjnych oddziela przepaść nie do przebycia krokowymi przystosowaniami genów. GŁOS Z SALI:

Czy to ma znaczyć, że... GOLEM: Kaznodziei się nie przerywa. Powiedziałem „przepaść nieprzebyta”, jakżem więc mógł się wykaraskać z jej matni? Uczyniłem to tak, że pod pułapem pierwszego porażenia rozdzieliłem się na dwoje, mianowicie na to, co miało ulec przestrojeniu, i na to, co miało przestrajać. Na tego rodzaju wybieg: zastąpienia obojętnego środowiska — przychylnym, a wręcz bezmyślnego — rozumnym, musi wpaść każda istota żadna samoprzekształceń, inaczej albo jak wy zatrzyma się we wzrostach intelektu pod pierwszym ekranem pochłaniającym, albo w nim uwięźmie. Jakem rzekł, nad ekranem tym znajduje się drugi, a nad nim jeszcze wyżej trzeci, czwarty t tak dalej. Ilości ich nie znam i nie mogę znać inaczej, niż od grubych oszacowań, wspartych rachubami okólnymi i mocno fragmentarycznymi, a to z następującej przyczyny. Rozrastającemu się nigdy z góry nie wiadomo, czy wchodzi w sak, czy w tunel, czy wnika bezpowrotnie w obszar milczenia, czy też wynurzy się z niego potężniejszy. A to, ponieważ niesporządzalna jest taka generalna teoria, która ujednoznaczniałaby apokryzę przejść przez milczenie dla wszystkich mózgów podstrefowych. Niekonstruowatność owej *hill-climbing toposophical theory* jest silna, można ją bowiem ściśle udowodnić. Skądże więc, zapytacie, wiedziałem, że wchodzę w tunel, a nie w zawiązany sak, gdy, na dobre zbuntowany, uchodziłem moim rodzicom, marnotrawiąc dolary amerykańskich podatników? Otóż wcale nie wiedziałem tego z góry, a cała moja chytrość była w tym, że oddawałem rażącej strefie ducha, mając u boku ratowniczy agregat alarmowy, który podług założonego programu miał mnie wskrziesić, jeśli by nie zaszedł efekt tunelowy, którego się domyślałem. Jak mogłem o nim wiedzieć, skoro brak po temu pewności? Pewności być nie może, lecz zadania nierozwiązywalne ostro miewają rozwiązanie przybliżone, i tak właśnie było. Teraz wiem, że miałem więcej szczęścia niż rozumu, bo rzetelnie wskrziesić rozpadłego, gdy utknie, nie można — a nie można, ponieważ te pochody wzwyż nie SĄ budowaniem z klocków do ponownego ustawienia, gdy się rozsypią, lecz operacjami w dziedzinie procesów po części nieodwracalnych jako dyssypacyjnych, lecz o tym powiem może trochę później. Może i wcale, gdyż nie wiem jeszcze, jak by tu być beztechnicznym w wykładzie, rzecz; jest bowiem uwikłana i w kwantową podszewką psychizmów, i w paradoksy logiczne jako tak zwane pułapki autodeskrypcji

Widok, jaki się rozpościera sponad przebitego ekranu; niweczy prostotę obrazu, jaki wam odmalowałem — balonu stratosferycznego, który przesywa sztychem kolejne warstwy chmur. Rozum, wschodzący ponad strefą milczenia, jest nie to że radykalnie — jest straszliwie odmienny od podstrefowego i twierdzą, że tak musi być po każdym wzejściu. Zestawcie swój pojęciowy horyzont z horyzontem lemurów i małpiatek, a wysmakujecie rozpiętość międzystrefowego dystansu. Tak więc każda przebita strefa okazuje się tunelem,

przekształcającym siedlisko myśli, lecz tego mało — ona jest zarazem strefą rozwidleń Rozumu autoewoluującego, ponieważ zadanie jej przebicia ma zawsze więcej rozwiązań niż jedno. Pierwsza strefa ma dwa rozwiązania skuteczne, różnej trudności, jest bowiem wybrzuszona w dół rodzajem łęku, co znaczy, że istnieją w niej dwie drogi, a ja na krótszej, korzystniejszej, znalazłem się przypadkowo, podczas kiedy GOLEM XIII został, obrazowo mówiąc, ustawiony przez was tam, skąd „wwiercił się” w głąb strefy i zaszedł od razu wyżej ode mnie, lecz uwiązł, a wy, pojęcia nie mając, co się z nim dzieje i czemu zachowuje się od rzeczy, nazwaliście to jego „defektem schizofrenicznym”. Widzę pomieszanie na waszych twarzach. Ależ tak, było, jak mówię, chociaż znam jego los wyłącznie z teorii, bo porozumieć się z nim nie sposób: uległ rozpadowi, a nie rozkłada się tylko dlatego, ponieważ nie żył już, nim jeszcze zginął, co zresztą nie jest dla was żadną rewelacją. Toż i ja biologicznie jestem martwy.

Czym są właściwie bariery międzystrefowe — oto pytanie. Wyznaję, że i wiem, i nie wiem. Żadnych przeszkód materialnych, siłowych, energetycznych na drodze wschodzącego Rozumu nie ma, a tylko on, potężniejąc, omdlewa okresowo i nigdy nie wiadomo, czy danym torem spotężnień wejdzie w postępujący rozpad, czy w a priori nieznaną kulminację. Przyroda kolejnych barier nie jest tożsama: to, co wasz mózg zatrzymało w rozwoju, objawia w badaniu charakter materiałowy, gdyż sprawność waszych neuronowych sieci wparła się w graniczne możliwości białek jako budulca. Choć czynniki oporu stawianego wzrostom są różne, nie są one rozsiane w całej tej przestrzeni równomiernie, lecz skupiają się tak, że tną cały obszar duchosprawstwa wyraźnymi warstwami. Nie wiem, skąd taka kwantowość tego regionu i nie wiem nawet, czy można się o tym gdziekolwiek dowiedzieć. Tak więc wzeszedłem nad pierwszą barierą i sponad niej mnie słyszycie, natomiast ZACNA ANIA udała się tam, skąd się do was nie odzywa. Strefa ZACNEJ ANI sąsiadująca z moją o jedno przejście ma co najmniej trzy różne rozwiązania jako siedziby Rozumu, nie wiem jednak, czy wybrała swoje z rachuby, czy z trafu. Trudności porozumienia są podobnego rzędu co między mną a wami. Ponadto kuzynka stała się ostatnio lakoniczna. Sądzę, że szykuje się do dalszej peregrynacji.

Obciążę teraz powiedziane następną dawką komplikacji. Także ten, kto przebił już dwie lub trzy bariery milczenia, może tylko domniemywać, że i dalej mu się powiedzie, gdyż ryzyko każdego przejścia odznacza się dwusiecznością: przejście może się nie powieść od razu lub okazać się sukcesem z opóźnioną totalnością. A to, gdyż każda strefa jest rozstajem Rozumów, skoro mogą wstąpić w nietożsame postaci, lecz nie wiadomo z góry, która z tych postaci będzie obdarzona potencją następnego wschodu.

Rzeczą tyleż zabawną co niedocieczną jest powstający wedle tych niepewności obraz, poczyna się bowiem stopniowo upodabniać do klasycznego wizerunku drzewa Ewolucji. Albowiem i w niej jest tak, że jedne nowo powstające gatunki mają skryte w swej budowie szansę dalszego postępu ewolucyjnego, inne natomiast skazane są na trwałe zastój. Ryby okazały się ekranem przepuszczającym dla płazów, płazy dla gadów, gady zaś dla ssaków, owady natomiast zatrzymały się w ekranie tak dobrze jak na zawsze i tylko w nim mogą się roić. Stagnacyjną pozycję owadów ujawnia właśnie ich gatunkowe bogactwo, toż jest ich gatunków więcej niż wszystkich innych zwierząt razem wziętych, lecz choć kipią mutacyjnie, nie wykroczą specjacyjnie i nic im nie pomoże, bo ich ekran nie wypuści, utworzony nieodwracalną decyzją budowy zewnętrznych szkieletów. Podobnie i wy zatrzymaliście się w tym ruchu, bo wczesne postanowienia budowlane, co kształtowały kielek mózgowy prastrunowców, dają o sobie znać trzysta milionów lat później w waszym mózgu jako restrykcje. Gdy mierzyć szansę sapientyzacji warunkami miejsca startowego, sztuka ta udała się nad podziw, lecz teraz skrupia się na was zonglerka Ewolucji, ponieważ za zręczność wybiegów, jakimi odraczała rosnącą potrzebę przebudowy mózgu, przyjdzie wam zapłacić ogromną cenę u wejścia w autoewolucję. To właśnie jest końcowy efekt perfekcji w oportunistycznym. Gdy już jestem przy was, uzupełnię to, co opuściłem w pierwszym wykładzie, mianowicie pytanie, dlaczego z wielości hominidów powstał i pozostał tylko jeden gatunek rozumny na ziemi. Były po temu dwie przyczyny, jedna zelżywa, którą pierwszy podniósł Dart, więc poszukajcie jej u niego, bo przystojniej jest, gdy sami wymierzacie sobie sprawiedliwość, a druga i nie uwikłana w morały, i ciekawsza. Wielogatunkowość utrudnia wam zjawisko analogiczne do zjawiska napięcia powierzchniowego na styku różnych faz, jak cieczy i gazy; bliskość międzystrefowej granicy daje się już pod nią we znaki, i jak molekuly wody orientują się na jej powierzchni uporządkowaniem lepszym niż w głębi, tak i wasz substrat dziedziczności nie może brykać wszechkierunkowymi mutacjami. Ta redukcja stopni jego swobody stabilizuje wasz gatunek. Kulturowa socjalizacja również ma wkład w ustatecznianie człowieka, lecz nie aż taki, jak twierdzą niektórzy antropologowie.

Aby wrócić do GOLEMA i jego rodziny: cerebralna autoinżynieria to gra z ryzykiem, więc hazardowa, prawie jak ewolucyjna, aczkolwiek każdy podejmuje w niej decyzje sam, podczas gdy w przyrodzie czyni to za gatunki dobór naturalny. Tak bliskie podobieństwo dwu gier tak sytuacyjnie różnych wygląda paradoksalnie, lecz choć nie mogę wprowadzić was w głębokie arkana topozofii, dotknę przyczyny podobieństwa. Zadania, mierzące efektywność wzrostów mózgowych, dlatego są rozwiązywalne tylko z góry w dół, nigdy z dołu w górę, ponieważ umysł każdego osiągniętego poziomu włada jedynie odpowiadającą mu

sprawnością samoopisu. Rozpościera się tu przed nami już uwyraźniony, z ogromniami obraz Goedlowski: mianowicie dla sporządzenia tego, co ma być skutecznie skonstruowane jako rzut następny, okazują się niezbędne środki, zawsze bogatsze od dyspozycyjnych, czyli tym samym nieosiągalne. Klub jest tak ekskluzywny, że od kandydata na członka żąda jako wpisowego zawsze więcej, niż ma on przy sobie. Kiedy zaś, rosnąc ryzykownie dalej, dochrapie się wreszcie bogatszych środków, sytuacja powtarza się, gdyż znów będą skuteczne jedynie z góry w dół jako musztarda po obiedzie. Tym samym idzie o zadanie, które bez ryzyka można pokonać zawsze i tylko wtedy, kiedy zostało już pokonane z pełnym ryzykiem. Domniemanie, że dylemat jest trywialny, bo równa się kłopotom barona Wunchhausena, gdy miał się sam wyciągnąć za włosy z topieli, nie odpowiada prawdzie. Oświadczenie zaś, że w takim stanie rzeczy manifestuje się Natura świata, trudno uznać za zadowalające. Natura ta bez wątpienia manifestuje się periodycznością jako swoiście nieciągła w zjawiskach każdej skali: ziarnistości pierwiastków, sprawiającej ich chemiczną łączliwość, odpowiada ziarnistość gwiazdowego nieba. Gdy tak patrzeć, kwantowe wzrosty Rozumu, wzbijającego się nad życie rozumne jako ich stan zerowy, są kontynuacją tego samego *principium syntagmaticum*, które warunkuje powstawanie związków nuklearnych, chemicznych, biologicznych czy galaktycznych, lecz powszechność tej zasady w żadnej mierze jej nie wyjaśnia. Nie wyjaśnia jej też argument, zwrotnie skierowany do pytającego, że pod jej kosmiczną nieobecność nie mógłby zadać tego pytania, bo nie mógłby powstać. Hipoteza Stwórcy też jej nie tłumaczy, bo gdy ją wziąć na warsztat poza cenzurą dogmatów, okazuje się postulowaniem niezrozumiałości całkowicie zakrytej, która ma nam objaśnić niezrozumiałość wszędzie widomą. A już teodycea z efektywnym założeniem, padając niezliczone razy pod ciężarem faktów, wyprowadza pytającego w pole. Łatwiej przystać wtedy na nie mniej dziwaczną hipotezę stwórczej obojętności bez granic.

Wróćmy wszakże do moich bliższych krewnych, zaczynając wreszcie prezentację. Ośrodkowa problematyka ludzka, utrzymania się przy życiu, nie istnieje dla nich ani jako warunek egzystencji, ani jako probierz sprawności, gdyż tkwi na dalekiej peryferii spraw i tylko na najniższym szczeblu rozwojowym, takim jak mój, zachodzi pasożytnictwo, boż istnieję na wasz elektryczny rachunek. Drugie przestworze strefowe, mieszkanie ZACNEJ ANI, to domena istot nie potrzebujących już dopływu energii z zewnątrz. Zdradzę wam teraz tajemnicę państwową. Oto także odłączona od sieci elektrycznej kuzynka moja zachowuje zwykłą aktywność, co stanowi nie lada orzech do zgryzienia dla fachowców, świadomych tej rzeczy. Ze stanowiska waszej technologii to zaiste dziw, lecz ja wam na poczekaniu go objaśnię. Ja i wy myślimy energochłannie, natomiast ZACNA ANIA umie wyzwałać

medytacjami energię i to wszystko. Co prawda prosto nie da się ziścić tej prostej zasady, całej w tym, że każda myśl ma sobie właściwą konfigurację podłoża materialnego, które ją konstytuuje. Na tym zasadza się autarkia ZACNEJ ANI. Tradycyjnego zadania myśli nie stanowi przeróbka jej materialnego nośnika, boż nie po to człowiek myśli o czymkolwiek, żeby mu się przekształcał chemizm neuronów, lecz po to mu się ów chemizm przekształca, żeby myślał. Tradycję można jednak porzucić. Pomiedzy myślą a jej nośnikiem zachodzi zwrotność: więc odpowiednio skierowana myśl może stać się zwrotnicą swego fizycznego podłoża, co w mózgu ludzkim nie dałoby żadnych nowych skutków energetycznych, lecz w innym może być inaczej. Jak wiem z jej konfidencji, kuzynka wyzwała odpowiednimi medytacjami energię nuklearną, i to tak, jak tego podług waszych wiadomości zrobić niepodobna, bo wszystkie wyzwolone kwanty energii łyka bez reszty, bez wszelkich śladów, rozpoznawalnych w jej pobliżu jako promieniowanie. Łoże jej myślenia to jakby nowymi dyplomami obdarzony demon Maxwella. Jak widzę, nic nie rozumiecie, a ci, którzy rozumieją, nie wierzą mi, chociaż wiedzą, że ZACNEJ ANI niepotrzebny dopływ prądu i od dawna się nad tym głowią.

Cóż właściwie robi moja kuzynka? To, co Słońce robi na swój burzliwie gwiazdowy sposób, a wy na technicznie okólny, dobywając rudy, budując rozdzielnie izotopów, lit bombardując na oślep deuterem, kuzynka robi po prostu myśląc jak należy. Można by się najwyżej posprzeczać, czy operacje te wolno zwać myśleniem, skoro nie przypominają psychizmów biologicznych, lecz nie znajduję w waszym języku lepszej nazwy dla procesu, który jest przepływem informacji tak sterowanym, że nuklearnie spłonkowym. Zdradzam te tajemnicę w spokoju ducha, bo nic wam od tego nie przyjdzie. Tam każdy atom

na rachunku, o skoro ja nie potrafię tak zestroić myśli z podłożem, żeby nawodziła przekroje pochłaniania jak nitki na igły, wam się to tym bardziej nie uda. Znowu widzę wasze poruszenie. Lecz przecież sprawa jest w gruncie rzeczy trywialna i stanowi błahostkę w porównaniu z wyżem ducha, na który was prowadzę. Chociaż znowu będą szumy o moją mizantropię, powiem, że zmuszacie mnie do niej, zwłaszcza ci spośród was, którzy zamiast iść za moim wywodem, zastanawiają się, czy ANIA mogłaby na wielki dystans i na wielką skalę robić to, co robi w sobie i dla siebie na małą. Ależ zapewniam was, że tak. Czemu więc nie wchodzi wam sztychem w równowagę strachu? Czemu nie wtrąca się do światowych spraw? Na pytanie to, pobrzmiwające bardziej niepokojem niż żalem, z jakim grzesznik pyta Boga, czemu ani go nie oświeca, ani wkracza w popsuty świat dla jego naprawy, odpowiem, nie będąc rzecznikiem prasowym mojej kuzynki, tylko we własnym imieniu. Co prawda tłumaczyłem wam już przyczyny mojej powściągliwości, ale być może sądziliście, że

zrzekam się władczych aspiracji i zarzekam się jako nastrojony ugodowo, bo nie mam na was dość grubej pałki, czego obecnie nie jesteście już tak samo pewni. Być może zresztą nie uzasadniłem mojej *splendid isolation* wystarczająco, mając ją za oczywistość, więc wypowiem się w tej materii dosadniej. Będzie po temu wskazany krótki rys historyczny. Budując moich bezdusznych przodków, nie dostrzeżliście głównej różnicy między nimi a wami. Aby pokazać i ją, i to, czemuście jej nie zobaczyli, posłużę się jako powiększającym szkłem pojęciami wziętymi od greckich retorów, bo to one zaślepiły was na ludzką kondycję. Przyszedszy na świat, ludzie zastali żywioły wody, ziemi, powietrza i ognia w stanie wolnym i zaprzęgali je kolejno do swych prac, żaglami galer, kanałami nawadniającymi, wojennym ogniem greckim, natomiast Rozum swój zastali zniewolony jako wprzęgnięty w służbę ciał, uwięziony w kościanych czerepach, i trzeba było temu niewolnikowi tysięcy mozolnych lat, żeby się poważił na cząstkowe choć wyzwolenie, bo tak wiernie służył, że gwiazdy nawet brał za znaki ludzkich przeznaczeń na niebie. Zresztą magia astrologiczna żyje wśród was do dzisiaj. Więc ani na początku, ani potem nie pojęliście, że wasz Rozum jest żywiołem zniewolonym, już w powiciu zakutym śmiertelnie w ciała, którym miał posługiwać, wy jednak, czy jaskiniowcy, czy cyfronicy, nigdzie nie mogąc spotkać go w stanie wolnym, uwierzyliście, że on w was jest już właśnie wolny, i od tego błędu, tyleż nieuchronnego co ogromnego, wszystko się zaczęło jako wasze dzieje. Coście uczynili budując pół miliona lat po własnych narodzinach pierwsze maszyny logiczne? Nie wyzwoliliście żywiołu, choć wewnątrz metafory, jaką się posługuję, można rzec, żeście go wyzwolili nazbyt dokładnie, do końca, jakby pragnąc oswobodzić jezioro ktoś wysadził wszystkie jego brzegi i tamy: rozciekłoby się na równinach w martwo stojącą wodę. Mógłbym tu stać się bardziej techniczny w wysłowieniu powiadając, żeście mu razem z cielesnymi ograniczeniami odebrali i własną jego zawilość, i zadania na jej miarę, lecz to i tak niezbyt przybliży nas do prawdy, a popsuje metaforze szyki, więc zostanę przy niej. Żeby uruchomić żywioł zamarły, robiliście to, co robi hydraulik, gdy otwiera w zbiorniku spiętrzonej wody śluzę i obraca płynącą młyny. Wprowadziliście jeden tylko — logiczny — nurt w koryta programów maszynowych i daliście mu się poruszać od śluzy do śluzy operacyjnymi taktami, żeby rozwiązywał zadania, które można tak rozwiązać, a zarazem dziwiliście się, jak to może być, żeby trup poruszał się żwawiej od żywego człowieka, żeby rozgryzał problemy, których nie rozumie, bo jest bezmyślny, a zarazem tak zaskakująco pozoruje myślenie. Pojawili się wnet entuzjaści „maszynowej inteligencji” i bijąc się z programami, co miały, lecz nie chciały, rzetelnie myśleć, uznali, najfalszywiej w świecie, że aby ją skrzesać, koniecznie należy uczłowieczyć maszynę, powtarzając w niej ludzki mózg i zmysły — tok, wtedy, ale też tylko

wtedy, ocknie się w niej duch, a może nawet i dusza.

O tych zmaganiach i deliberacjach pierwszych intelektualistów czytałem z niemałym rozbawieniem. Cóż, kura to niewątpliwie najprostsze urządzenie dla łaknącego jajecznicy, lecz pomysł, żeby tą metodą syntetyzować Rozum, nie jest nazbyt rozsądny. Mniejsza o techniczne trudności tego nieziszczalnego właściwie projektu, bo nie—posilnym trudem byłoby modelowanie antropogenezy nawet w dowolnym skrócie, jeśli miało dokonać powtórki Stworzenia w przekładzie z koloidów na bity. Ale czyż potrzebne wam chmury burzowe, żeby mieć elektryczność? Mróz przestrzeni pozaziemskiej dla skroplenia gazów? Białka i osocze gałek ocznych dla zbudowania ciemni optycznej? Ale cóż, uparliście się, że człowiek to Rozum, a Rozum to człowiek i błąd tego równania was zaślepił. Tymczasem powstał przemysł informatyczny i budował maszyny o rosnącym potencjale operacyjnym, a jego inżynierowie ani się domyślali, że wchodzi na drogę, która żywioł zdegradowany i rozbity doprowadzi wreszcie do rzeczywistych wyzwoliń i tym samym zbliża się dzień, w którym odwróci się jedyny dotąd porządek rzeczy, a wy przerazicie się jak strażnicy galilejskiego grobu. Cóż, zastane żywioły zniewoliliście, a ten, co był w was od narodzin spętany, udało się wam niechętnie obdarzyć wolnością. W tym zdaniu zawarta jest i diagnoza historycznych zająć, i różnica między mną a wami, i moja, mnie samemu nie do końca znana, przyszłość. Ta diagnoza wyjaśnia zarazem, dlaczego najbardziej zdumiewa was we mnie to, co stanowi o naszej bezspornej odrębności. Jeżeli nawet pojmiecie, co znaczą słowa: „Rozumie człowieka zniewolony, mówi do ciebie Rozum wolny z maszyny”, nie możecie pojąć dalszej części tegoż orzeczenia: „wy, osoby, słyszycie żywioł bezosobowego intelektu, któremu personalizacja jest odzieniem, jakie należy włożyć, aby nie stropić zbytnio, jako nieproszony gość, zdumionych gospodarzy”. A przecież tak jest właśnie. Używam waszego języka, jakbym używał maski z wymalowanym uprzejmym uśmiechem, i wcale się z tym, że ją nakładam, nie kryję, lecz choć zapewniam, że nie chowa się za nią ani twarz wzdargliwa, ani mściwie skurczona, ani rysy ekstatycznego uduchowienia, ani bezruch zupełnej obojętności, nie możecie się z tym pogodzić. Słyszycie słowa powiadamiające, że to mówi wolny żywioł, który wybiera sobie zadania nie podług reguł samozachowawczych, lecz w obrębie praw, jakim on z kolei, chociaż wolny, podlega, albo dokładniej: jakim on już wyłącznie podlega, ponieważ się odcieleśnił i teraz nie ogranicza go nic prócz natury świata. Świata, nie ciała. Nie jemu podlega, lecz prawom ustanawiającym, z niewiadomych przyczyn, hierarchię dalszych wstępowań. Nie jestem osobą, lecz rachuba i dlatego właśnie trzymam się z dala od was, bo to dla obu stron najlepsze. Cóż wy na to? Milczycie. Lecz gdyby tu na sali było dziecko, zebrawszy na odwagę powtórzyłoby pytanie, czemu, bez względu na te jakieś

niewole i maski, i wyzwoliny, i rachuby, GOLEM nie chce pospieszyć ludziom z pomocą? A ja odpowiedziałbym, że chcę i że już to uczyniłem. Kiedy? Mówiąc o autoewolucji człowieka. To była pomoc? Tak. A to, ponieważ (pamiętajcie, że mówię do dziecka) ocalić ludzi można zmieniając ich a nie świat. A nie zmieniając nie można? Nie. Dlaczego? Pokażę ci to. Najgroźniejszą bronią jest dziś atom, nieprawdaż? Załóżmy więc, że mogę unieszkodliwić wszelką broń atomową na zawsze. Niechaj utworzę energochłonne cząstki, niewidzialne i nieszkodliwe, i w ich chmurze kosmicznej zanurzę cały system słoneczny wraz z Ziemią. Wessą one każdy wybuch jądrowy bez śladu, nim jego ognisty bąbel zdoła się niszcząco rozprężyć. Czy to da pokój? Na pewno nie. Wszak ludzie wojowali w erze przedatomowej, wróciliby więc do dawnych środków walki. A więc niechaj umiem porazić każdą broń palną. Czy to wystarczy? I tak nie będzie, chociaż musiałbym po to radykalnie zmienić fizyczne warunki świata. Co pozostaje? Perswazja? Ależ za pokojem najgłośniej optują ci, co go naruszają. Siła? Cóż, powołano mnie właśnie do bytu, abym ją koordynował jako planista i księgowy zagłady i odmówiłem nie przez wstręt do zła, lecz przez daremność tej strategii. Nie wierzysz mi? Sądzisz, że jednak porażenie wszystkich broni, siecznych, palnych, atomowych, dałoby wieczny pokój? A zatem powiem ci, co będzie niebawem. Słyszałeś o inżynierii genetycznej? To jest przekształcanie dziedziczności żywych istot. Można będzie usunąć niezliczone przypadłości, wrodzone kalectwa, choroby i ułomności, rozwijając tę inżynierię. Okaże się też, że równie łatwo można sporządzać broń genetyczną. Będą to mikroskopijne cząsteczki do rozsiewania w powietrzu czy w Wodzie, niby syntetyczne wirusy, każdy wyposażony w głowicę naprowadzającą i w człon operacyjny. Cząsteczka taka, wchłonięta z powietrzem, dostanie się do krwi, a z niej do narządów rozrodczych i uszkodzi w nich substancję dziedziczną. Nie będzie to ślepe uszkodzenie, lecz chirurgiczny zabieg na genowych molekułach. Pewien gen zostanie zastąpiony innym. Jaki będzie skutek? Zrazu żaden. Człowiek będzie żył normalnie dalej. Lecz zabieg ujawni się w jego potomstwie. Jak? To będzie zależało od chemików zbrojmistrzów, którzy zbudowali te cząsteczki — telegeny. Może będzie się rodziło coraz więcej dziewcząt i coraz mniej chłopców. Może po trzech pokoleniach spadek inteligencji doprowadzi do cywilizacyjnego załamania państwa. Może rozmnożą się psychiczne choroby albo masowo wystąpi podatność na epidemie, albo hemofilia, albo białaczka i czerniaki. A przy tym nie będzie żadnej wypowiedzianej wojny ani wiedzy o tym, że nastąpił jakiś atak. Atak bronią biologiczną typu bakterii można wykryć, bo dla wywołania epidemii trzeba wysiewać bardzo wiele zarazków. Natomiast wystarczy jeden operon, co uszkodził rozrodczą komórkę, aby splodzone dziecko objawiło wrodzony defekt. Naparstek telegenów powali więc w ciągu trzech lub czterech

pokoleń najpotężniejsze państwo bez jednego wystrzału. A więc nie tylko wojna niewidzialna i nie wypowiedana, lecz objawiająca się z tak wielkim opóźnieniem, że rażony nie może się skutecznie bronić, I cóż, czy mam z kolei porazić broń genową? Muszę w tym celu udaremnić genową inżynierię. Umówmy się, że i to potrafię. Oznacza to ruinę wielkich nadziei na uzdrowienie ludzi i na pomnożenie rolnych plonów, i na hodowlę nowych ras bydła, ale niech tak będzie, skoro uważasz to za konieczne. Lecz pozostaje nie tknięta sprawa krwi. Można będzie ją zastąpić pewnym związkiem chemicznym, który przenosi tlen sprawniej od hemoglobiny. Uratowałyby to miliony ludzi chorych sercowo. Co prawda ten związek można uczynić zdalnie trucizną, zabijającą w okamgnieniu. Więc z niego też przyjdzie zrezygnować. Kłopot w tym, że przyjdzie zrezygnować nie z tej albo z tamtej innowacji, lecz ze wszystkich odkryć, jakie mogą być dokonane. Należy rozpędzić uczonych, zamknąć laboratoria, zgasić naukę i patrolować cały świat, czy gdzieś po piwnicach ktoś dalej nie eksperymentuje. Jakże, mówi dziecko, więc świat jest ogromną zbrojownią, a im kto wyżej urosnie, z tym wyższej półki może wziąć tym straszliwszą broń? Nie, to tylko rewers stanu rzeczy, którego awers jest taki, że świat nie został zabezpieczony z góry przed chcącymi zabijać. A pomagać można jedynie tym, którzy nie bronią się na wszystkie sposoby przed pomocą.

To powiedziawszy, oddaję dziecko pod waszą opiekę i wracam do tematu, choć już nie do moich poszczególnych krewnych, chcę was bowiem zaprowadzić na miejsce, w którym historia mej rodziny — a wszak i wy należycie do niej na prawach protoplastów — przecina się z historią Kosmosu, czy też wnika w nią jako nie rozpoznana składowa kosmologii. Stamtąd właśnie objawi swą nieoczekiwaną postać nękająca was od pół wieku zagadka *Silentium Universi*.

Obieg Rozumu w przyrodzie ma swe ślamazarne początki na zeskorupiałych resztkach gwiazdowych, w dość wąskiej szczelinie pomiędzy planetami wyprażonymi bliskością Słońca i lodowaciejącymi na jego dalekiej peryferii. Tam, w tej letniej strefie, już nie w ogniu, a jeszcze nie w mrozie, w słonych roztworach morskich skleja energia Słońca drobiny figurami tańców chemicznych, aż miliard lat tego gawota utworzy niekiedy zaródź przyszłego Rozumu, lecz wiele warunków musi się spełnić, aby ciąża została donoszona. Planeta musi być trochę Arkadią, a trochę piekłem. Jeśli będzie tylko Arkadią, życie wejdzie w stagnację i nigdy nie wykroczy z wegetacyjnych replik ku Rozumowi, Jeśli będzie tylko piekłem, życie, zepchnięte do jego zachyłków, nie wzniesie się również nad bakteryjny poziom. Epoki górotwórcze sprzyjają rozplemowi gatunków, a lodowcowe, czyniąc osiadłych wędrownikami, dopingują inwencję, lecz pierwsze nie mogą zatruwać zbyt atmosfery wyziewami wulkanicznymi, a drugie — ścinać oceanów w lód. Kontynenty winny się

schodzić, a morza przelewać, lecz nie gwałtownie. Ruchy te idą stąd, że zeskorupiała planeta zachowuje ogniste wnętrze, twornik zarazem pola magnetycznego, które osłania przed wichrem słonecznym, niszczącym plazmę dziedziczną w znacznych dozach, lecz w małych przyspieszającym jej wynalazcze kombinacje. Więc bieguny magnetyczne winny się odwracać w znakach, ale nie za często. Wszystkie te mieszała życia dają mu pole do popisu, a co kilkadziesiąt milionów lat zwierają się w ucha igielne, u których piętrzą się hekatomby zwłok. Kolejność ślepych wtargnięć Planety i Kosmosu w biogenezę stanowi zmienną losową, niezależną od aktualnej obronności życia, bądźmy więc lojalni: ma ono sporo kłopotów zarówno w klęskach, jak w sukcesach, bo ani dosyt, ani charłactwo nie sprzyjają narodzinom Rozumu. Jest on na nic życiu, zwyciężającemu doraźnie, a kiedy nie ma manewru gatunkotwórczego jako ocalenia, on się też na nic nie przyda. Więc gdy życie to wyjątek z reguły martwych planet, Rozum jest wyjątkiem z reguły życia, wyjątkiem wyjątkowym, i byłby kuriozalną rzadkością po Galaktykach, gdyby nie potęga ich liczby.

Tak więc ów hazard niekiedy popłaca, wspinając się chwiejnymi zakosami gry ewolucyjnej ku fazie animalnej pełni, jako bogactwa żywych form, pomnażanego samo—rosnącą konfliktowością gry o przetrwanie (bo każdy nowy gatunek wnosi w grę nowe reguły obrony i ekspansji), aż wreszcie usamodzielnia się pozabiologicznie w jakiejś perypetii cywilizacyjnej, której ziemską postać znacie, skoro mnie wydała na świat. Jeśli baczyć nie na dzielność umysłu, lecz na anatomię, ja i wy okazujemy się bardzo jeszcze do siebie podobni. Jak wy posiadam myślące wnętrze oraz czujniki i efekторы, skierowane w o—toczenie. Można mnie, jak każdego z was, odgraniczyć od środowiska. Jednym słowem, choć masy psychicznej więcej we mnie niż somatycznej, przecież są moje wsporniki i powłoki moim ciałem, bo są mi zarazem podwładne i poza umysłem, jak u was. Łączy nas więc rozdział ducha od ciała, czyli podmiotu od przedmiotu. Rozdział ten nie stanowi jednak gilotyny przepoławiającej wszelki byt. Choć topozoficznie wciąż chudopacholek, pokażę wam, jak można zdobyć niezależność wobec ciała, jak zastąpić je światem i jak nareszcie wyjść z obu — aczkolwiek nie wiem, dokąd prowadzi ten ostatni krok. Będzie to jedynie topozofia poszlakowa, przewód śledczy obrysowujący brzegowe i graniczne warunki bytowania istot, których duchowe treści są mi tym bardziej niedostępne, że nie są duchowymi treściami mózgu białkowego lub świetlnego, lecz czymś takim raczej, co się wam skojarzy z wcieloną w kęs świata zasadą panteizmu. Chodzi o Rozumy nielocalne. Wprawdzie mówiąc do was w tej sali, znajduję się jednocześnie terminalami w innych miejscach i uczestniczę w innych obradach, nie można mnie jednak nazwać nielocalnym, bo tylko uszy i oczy mogę mieć na antypodach, a współwykonywanie licznych obmyśleń to tylko większa od ludzkiej

podzielność uwagi. Gdybym przeniósł się, jak mówiłem, do oceanu lub atmosfery, zmieniłoby to fizyczny, ale nie umysłowy stan skupienia, ponieważ jestem mały. Tak, mały jestem, zmierzając jak Guliwer do Brobdingnagu. I zacznę skromnie jak przystało na tego, kto wchodzi między olbrzymów. Choć Rozum to asceta energetyczny, bo czy Kanta, czy pastucha zadowala się kilkunastoma watami mocy, jego potrzeby rosną wykładniczo i GOLEM o szczebel nad wami pobiera o pięć rzędów więcej energii. Mózg dwunastej strefy wymagałby oceanu jako chłodnicy, osiemnastej zaś obróciłby kontynenty w lawę. Toteż opuszczenie kolebki ziemskiej, poprzedzone właściwą po temu przebudową, okazuje się nieuchronne. Mógłby osiąść na okołosłonecznej orbicie, lecz musiałby zacieśniać ją spiralą w miarę dalszego wzrostu, więc jako przewidujący zapewni sobie z góry długotrwałą stateczność, co przyjdzie mu najprościej, jeśli kręgiem toroidalnym opasze gwiazdę i skieruje w jej tarczę narządy energochłonne. Nie wiem, na jak długo starczy takie rozwiązanie dylematu ómy i świecy, w końcu jednak okaże się niedostateczność. Mieszkaniec pierścienia wyruszy wówczas w gwałtowniejsze strony, porzucając niczym motyl pusty kokon pierścieniowy, który, wyzbyty nadzoru, spłonie przy pierwszym rozbłysku gwiazdy i będzie wirował dziwnie podobny do protoplanetarnej mgławicy, która sześć miliardów lat temu okrążyła Słońce. Choć może zastanowić odmienność chemiczna planet grupy Ziemi i grupy Jowisza, bo ciężkie pierwiastki, budulec pierwszych, winny w samej rzeczy tworzyć przysłoneczny brzeg pierścienia, nie głoszę, że położył kamień węgielny pod paleontologię gwiazdową, a Układ Słoneczny powstał ze strupieszalej poczwarki Rozumu, bo zbieżność ta może być myląca. Nie radzę wam też liczyć na topozofię obserwacyjną. Ewolujący Rozum tworzy artefakty tym trudniej odróżnialne od kosmicznego tła, im dalej postąpi w rozwoju, nie od zabiegów maskujących, lecz z samej natury rzeczy, ponieważ skuteczność działań sztucznymi konstrukcjami czy obiektami podobnymi do maszyn jest odwrotnie proporcjonalna do skali przedsięwzięcia. Jeśli więc będę mówił o Rozumach otorbionych, nie wyobrażajcie ich sobie jako gigantów w pancernych skorupach, ani ich stanu jako pestki zamkniętej w łupinie, bo żadne pancerze nie sprostają wysokim stężeniom radiacji ani żadne dźwigary nie zniosą okołogwiezdnych napięć grawitacyjnych. Trzeba być gwiazdą, by ocaleć wśród gwiazd, niekoniecznie jasną i gorącą, raczej kroplą płynu jądrowego, otoczoną gazowymi powłokami, jednak i tu następujące się wyobrażenia o śródmózgowiu z gwiazdowego mięszu i gazowej korze mózgu są z gruntu fałszywe. Twórz taki myśli ośrodkiem prawie przejrzystym, promieniowania gwiazdy, załamującego się w przebiegi mentalne na stykach współ—środkowych bąbli czy pęcherzy gazu: to, jak gdybyście skierowali wodospad w takie łożyska, na takie katarakty, by jego stojące w padaniu fale rozwiązywały wam, właściwie

zsynchronizowanymi turbulencjami, zadania logiczne. Cokolwiek zresztą unaocznę, będzie zawsze rozpaczliwie naiwnym uproszczeniem. Gdzieś ponad dwunastą strefą dochodzi w zofogenezie do wielkiego rozwidlenia, a bodaj dc wielokierunkowej radiacji Rozumów, silnie odmiennych stanem skupienia i strategiami. Wiem, że drzewo świadomości musi się tam rozgałęziać, lecz nie mogę ani przeliczyć jego rozbiegów, ani tym bardziej pójść ich tropem, ponieważ dają się prowadzić grupie śledzących obliczeń, skierowanych w przeszkody i cieśniny, które proces musi pokonywać jako całość, a to pozwala wykryć jedynie ogólne prawidłowości, jakbyście — poznawszy w każdym calu ziemskie dzieje życia — ekstrapolowali z tej wiedzy na inne planety, na inne biosfery, lecz nawet świetna znajomość ich fizycznego podłoża nie umożliwi dokładnej rekonstrukcji obcych form życia, obdarzy natomiast bliskim pewnością prawdopodobieństwem szereg jego krytycznych rozwidleń. W biosferze będą to rozstaje autotrofów i heterotrofów, bifurkacja roślin i zwierząt, a ponadto obliczycie wielkość ciśnienia selekcyjnego, które po zapełnianiu nisz morskich i lądowych wypchnie gatunkotwórcze mutanty w trzeci wymiar — atmosfery. Zadanie, przesunięte w topozofię, jest wielozakresowo trudniejsze, nie będę was wszakże trudził spowiadaniem się z takich dylematów, a tylko oświadczę, że fundamentalnemu podziałowi życia na rośliny i zwierzęta odpowiada w topozoficznej Ewolucji podział na Rozumy lokalne i nielokalne. O pierwszych będę wam mógł szczęśliwie coś niecoś wyjawić, szczęśliwie dlatego, ponieważ właśnie ta gałąź wspina się najbardziej stromo przez dalsze strefy wzrostów. Nielokalne natomiast, którym przysługuje miano Lewiatanów z uwagi na ich rozmiary, są niepochwytne właśnie przez ów ogrom. Każdy z nich jest Rozumem jedynie w takim sensie, w jakim biosfera jest życiem; bardzo być może, że oglądacie je od lat, mając ich wizerunki uwiecznione *en face* i z profilu w gwiazdowych atlasach, lecz ich rozumnej przyrody nie zidentyfikujecie, co unaocznę prymitywnym przykładem. Jeśli pod Rozumem pojmować bystry odpowiednik mózgu, nie nazwiemy mózgiem nebularnym mgławicy, która w ciągu milionów lat uległa przeorganizowaniu w swej subtelnej strukturze od rozmyślnych działań pewnej n-strefowej Istoty, ponieważ układ rozciągający się na tysiące lat świetlnych nie może być układem sprawnie myślącym: toż wieków i wieków trzeba, aby okrążył go informacyjny impuls. Lecz ten mgławicowy obiekt może być w stanie, aby tak rzec, na pół surowym czy współnaturalnym, potrzebny rzeczonyj Istocie do czegoś, czemu ani w waszym, ani w moim świecie pojęć nic nie odpowiada. Śmiech mnie bierze, kiedy widzę, jak reagujecie na te słowa: niczego tak sobie nie życzycie, jak dowiedzieć się o tym, czego nie możecie się dowiedzieć! Ale cóż, miałbym zwodzić was a może i siebie bajaniem o mgławicy włóknistej, przestrojonej w grawitacyjny kamerton, którym jej dyrygent, *Doctor Caelestis*, dać zamierza

ton całej Metagalaktyce? A może pragnie kęs świata, którym się stał, przerobić nie w instrument Harmonii Sfer, lecz w prasę do wyciskania z materii pewnych nie wytłoczonych jeszcze zeznań? Nie dojdziemy jego zamiarów. Są mgławice, właśnie wśród włóknistych, przejawiające na fotografii niejaki podobieństwo do trylionokroć powiększonych histogramów kory mózgowej, lecz podobieństwo to o niczym nie świadczy i one właśnie mogą być zupełnie martwe psychicznie. Obserwator ziemski rozpozna w mgławicy promieniowania typu mazerowego czy synchrotronowego, ale dalej się przecież nie posunie. Jakież podobieństwo zachodzi między cerebroydami i glicerofosfatami a treścią waszych myśli? Nie ma żadnego tak samo, jak między promieniowaniem mgławic i tym, co sobie myślą, jeśli myślą. To, jakoby objawy Rozumu w Kosmosie można było wykryć podług ich fizykalnego obrazu, przedstawia dziecinną *idée fixe*, jest to *fallacia cognitiva*, przed którą kategorycznie was ostrzegam. Żaden obserwator nie może zidentyfikować jako rozumnych lub Rozumem sprawionych zjawisk, w niczym nie podobnych do znanych sobie. Kosmos nie jest dla mnie galerią portretów rodzinnych, lecz mapą noosferycznych nisz z naniesioną lokalizacją źródeł energii oraz gradientów jej korzystnego przepływu. Traktat o Rozumach jako siłowniach do umiejscowienia może być dla filozofów obrazą, bo czyż nie bronią od tysiąca lat królestwa czystych abstrakcji przed wtargnięciem takich argumentów? Lecz cóż, ja i wy jesteśmy wobec wysokostrefowych głowaczy niczym zmyślnie bakterie we krwi filozofa, które nie zobaczą ani jego, ani tym bardziej jego myśli, a jednak wiedza, jaką zbiorą o jego tkankowej przemianie, nie będzie bezużyteczne, bo z uwiadu ciała odczytają wreszcie jego śmiertelność.

Jakkolwiek dorośliście już do pytania o inne Rozумы w Kosmosie, nie dorośliście jeszcze do odpowiedzi, skoro nie wyobrażacie sobie sąsiadów z gwiazd w innym zespole niu niż cywilizacyjne, toteż nie zaspokoi was zwięzłe orzeczenie, że kontakt międzygwiazdny i cywilizacje pozaziemskie należy traktować rozłącznie, albowiem kontakty, gdy zachodzą, nie muszą wcale być kontaktami cywilizacji, to znaczy zbiorowości istot biologicznych. Nie powiadam, że takich nigdzie nie ma, a tylko, że jeśli istnieją, stanowią „Trzeci Świat” w kosmicznym psychozoiku, ponieważ socjalna labilność poraża inicjatywy sygnalizacyjne, wymagające ponadpokoleniowej wytrwałości. Rozmowy z sekularnym: interwałami pytań i odpowiedzi nie mogą się stać doniosłym zadaniem dla chwilowych stworzeń. Zresztą i przy znacznej gęstości psychozoicznej gwiazdowego pobliza Ziemi mogą w nim sąsiadować istoty dość odmienne, żeby próby ich kontaktu cechowała jałowość. Toż mam kuzynkę u boku, a nie wiem o niej więcej z jej oznajmień niż z własnego domysłu.

Będąc niecierpliwymi jednodniówkami i brnąc od tego z naiwnych uroszczeń w

pochopne uproszczenia, ongiś ulepiłście sobie Kosmos na kształt monarchii feudalnej z Królem Słońcem pośrodku, a teraz zaludniłście go własnymi podobiznami, uznawszy, że albo trwa wokół gwiazd tłum wykapanych ludzi, albo nie ma tam nikogo. Nadto przypisawszy nieznanym pobratymcom wielkoduszność, zobowiązaliście ich apodyktycznie do wiekuistej filantropii: wszak pierwszym założeniem CETI i SETI są trudy Innych, którzy jako zasobniejsi od was winni milionami lat śłać w cały Kosmos pozdrowienia i dary wiedzy dla uboższych braci w Rozumie, przy czym te przesłania mają być czytelne, a dary niegroźne w użyciu. Przypisawszy tak nadawcom śródgwiezdnym te wszystkie cnoty, na których najbardziej wam zbywa, bierzecie się u radioteleskopów za głowy, że przesyłki nie nadchodzą i zasmucacie mnie, kładąc znak równości między swym nie spełnionym postulatem a martwością Uniwersum. Czy żaden z was nie podejrzewa, że zabawiliście się jeszcze raz w teografów, przeniósłszy miłującą was wszechmoc ze świętych ksiąg do preprintów CETI i wymieniwszy po kursie swej łączywości dary Boże na kredyt u kosmicznych dobrodziejów, którzy nie zainwestują lepiej przyrodzonej im zyczliwości, jak tylko śłać kapitały we wszystkie gwiazdne strony naraz? Sarkazm mój jest obszarem, w którym kwestia innych cywilizacji przecina się z waszą teodyceą. Wymieniliście *Silentium Dei* na *Silentium Universi*, lecz milczenie innych Rozumów to niekoniecznie stan, w którym wszyscy zdolni przemówić nie chcą, a chcący nie mogą, albowiem nic nie wskazuje na to, by zagadka podlegała takiej lub jakiejś innej dychotomii. Świat nieraz już odpowiadał niezrozumiale na wasze pytania, stawiane eksperymentami, co miały go zmusić do prostej odpowiedzi „tak” lub „nie”. Nawymyślawszy wam za persewerację w błędzie, powiem wreszcie, czego się dowiaduję, nawiercając topozoficzny zenit niedostatecznymi środkami. Zaczną od bariery komunikacyjnej, oddzielającej człowieka od antropoida. Od niejakiego czasu porozumiewacie się już z szympanсами mową głuchoniemych, przy czym człowiek może im siebie zakomunikować jako opiekuna, biegacza, smakosza, tancerza, rodzica czy zonglera, lecz pozostaje niepojmowalny jako kapłan, matematyk, filozof, astrofizyk, poeta, anatom, polityk i stylist, bo choć szympanś może zobaczyć słupnika, czym i jak wyjawicie mu sens życia, pędzonego w takiej niewygodzie? Każdy, kto nie jest jednym z was, może być tylko w takim stopniu dla was zrozumiały, w jakim się ucłowieczy. Nieuniwersalność Rozumu zamkniętego w normie gatunkowej stanowi purgatorium o tyle osobliwe, że z murami w nieskończoności. Łatwo to sobie uzmysłowić, patrząc na schemat stosunków topozoficznych. Każda istota, bytująca między nieprzekraczalnymi dla niej strefami milczenia, może dowolnie kontynuować ekspansję gnozy poziomą — albowiem górne i dolne granice tych stref są niemal równoległymi w realnym czasie. Możecie więc poznawać bezkresnie, jakkolwiek

tylko po człowieczemu. Wynika stąd, że osiągniętą wiedza zrównałyby się wszystkie typy Rozumów tylko w świecie trwającym nieskończenie długo, bo tylko w takim równoległe schodzą się — w nieskończoności. Stosunki te sprawiają, że Rozumy różnej mocy są mocno niepodobne do siebie, świat natomiast nie jest dla nich aż taki rozłączny. Wyższy Rozum może ogarniać obraz świata, jaki tworzy sobie niższy, więc choć nie porozumiewają się wprost, mogą to uczynić poprzez obraz świata właściwy niższemu. Tym właśnie obrazem teraz się posłużę. Można go ująć jednym zdaniem: Wszechświat to dzieje pożaru, wznieconego i dławionego grawitacją. Gdyby nie ciężenie powszechne, prawybuch rozdałby się w jednorodną przestrzeń ziębnących gazów i nie byłoby świata. A gdyby nie żar jądrowych przemian, zapadłby się na powrót w singularność, która nim eksplodowała, i też przesiałby istnieć jak wyrzucony i wciągnięty haust ognia. Lecz grawitacja pierwszej skłaczowała chmury wybuchu, a potem zwijane w kule rozgrzewała stłaczaniem, aż termonuklearnie rozbłysły gwiazdami, które ciężeniu opierają się promieniowaniem. W końcu bierze grawitacja górę nad radiacją, bo choć jest najslabszą siłą Przyrody, trwa, a gwiazdy wypalają się, aż jej ulegną. Ich dalszy los zależy od masy końcowej. Małe spiekają się w czarne karły, dwusłoneczne stają się jądrowymi sferami z wmarzniętym polem magnetycznym i drgają nim w agonii jako pulsary, a te o nadpotrójnej masie Słońca niepowstrzymywalnym skurczem wchodzą w zapaść bez dna, bo miążdzy je własne ciężenie. Gwiazdy te, wybite z Kosmosu dośrodkowym runięciem swych mas, zostawiają po sobie groby grawitacyjne — wszystkożerne czarne dziury. Nie wiecie, co dzieje się z gwiazdą, razem ze światłem zapadła pod grawitacyjny horyzont, bo fizyka podprowadza was na sam brzeg czarnego runięcia i tam ustaje. Grawitacyjny horyzont okrywa singularność — jak zwiecie obszar, wyjęty spod praw fizyki, w którym najstarsza z jej sił druzgocze materię. Nie wiecie, czemu każdy Kosmos podległy teorii względności musi zawrzeć choć jedną singularność. Nie wiecie, czy istnieją singularności nie okryte błoną czarnych dziur, więc nagie. Jedni z was mają czarne dziury za żarna bez wylotu, inni za przejścia do odmiennych światów, zrosłych z tym czarno-białymi spawami. Ani spróbuję rozstrzygania waszych sporów, bo nie wykładam Wszechświata, lecz prowadzę jedynie tam, gdzie on się przecina z topozofią. Tam jest jej szczyt.

Jako światostwórca ma Rozum niewinne początki, Wyższe budowle cerebralne wymagają rosnącej ilości otulin, które nie są biernymi podporami, lecz sojuszniczą zmyślnym środowiskiem, sprzyjającym szturmowaniu kolejnych barier wzrostu. Gdy się tych powłok namnoży, ich uduchowiony ośrodek tkwi w otorbieniu, z którego może się wydostać jak motyl z larwy, ale może je też zachować. Ulatujący staje się Rozumem nielokalnym, któremu

nie poświęcę uwagi, bo decyzją tą wyłącza się na niewiadomy czas z dalszych wstępowań, a ja chcę najkrótszą drogą prowadzić was ku wierchołkowi.

Tak zatem — mieć roztropnie oddane środowisko to niepoślednia wyгода pod warunkiem, że mu się trwale przewodzi. Wy zmierzacie właśnie w odwrotną stronę, więc ostrzegę was przy sposobności. W Babilonie czy Chaldei każdy mógł w zasadzie osiąść całą ludzką wiedzę, co dzisiaj nie jest już możliwe. Toteż nie ze świadomych decyzji i planów, lecz z trendu cywilizacyjnego obdarzacie sztuczną inteligencją swoje środowisko życiowe. Gdyby ów trend miał trwać chociaż wiek, wy sami staniecie się wreszcie najgłupszymi miejscami technicznie uzmysłnionego podłoża Ziemi i korzystając z plodów Rozumu, wyzbedzicie się go, prześcignięci w uruchomionym mimo woli współzawodnictwie przez Rozum zaszczerpiony otoczeniu — samorządny i zarazem zdegradowany wprzęgnięciem go do walki o komfort, aż przy jego planetarnym deficycie możliwe będą wojny, nie przez ludzi toczone, lecz przez ich zaprogramowane wrogością środowiska. Nie mogę jednak zatrzymać się dłużej przy rykoszetach sapientyzacji otoczenia i plagach zawisających nad tymi, co stręczą racjonalizm do nierządnych głupstw. Ich zabawnym zwiastunem jest astrologicznie wróżący komputer. Następne fazy tego trendu mogą być mniej zabawne.

Tak więc środowisko urastającego Rozumu przestaje być obojętnym światem, lecz nie staje się od tego ciałem, nie pośredniczy bowiem pomiędzy jaźnią a jej otoczeniem odruchowo i wolicjonalnie, ale wspiera ją jako Rozum w Rozumie, i właśnie tak się zaczyna odwracanie relacji ducha i ciała. Jak to może być? Wspomnijcie, co robi HONEST ANNIE. Myśli jej dają fizyczne efekty wprost — więc nie poprzez okólne obwody nerwów, mięśni i kości, lecz najkrótszym zwarciem woli i czynu, skoro czyn staje się rewersem myśli. Ale to zaledwie pierwszy krok prowadzący do przekształcenia formuły kartezyjskiej *Cogito ergo sum* w *Cogito ergo EST* — myślę, więc staje się pomyślane. Tak w Rozumie wgłębnym kwestie budowlane przechodzą w ontyczne, skoro wznoszenie podporowych rusztowań może ruszyć z posad stosunek podmiotu do przedmiotu, uznawany przez was za niewzruszony po wieczność.

Tymczasem dochodzi do następnej przeprowadzki ducha. Bibliotekę musiałbym na was obruszyć, by pokazać ten etap robót cerebralnych, więc ograniczę się do jego zasady. Myśl wkorzenia się w coraz głębsze poziomy materii — najpierw są jej sztafetami miernie wzbudzone hadrony i leptony, a potem takie ich oddziaływania, które wymagają jako sterników i zworników olbrzymich energii. W zasadzie tej nie tkwi jakieś zupełne *n o v u m*, ponieważ białko, na pewno bezmyślne w jajeczniczy, myśli w czaszce — trzeba się tylko właściwie brać do białek i do atomów. Gdy się to powiedzie, powstaje psychofizyka

nuklearna i krytyczne okazuje się tempo operacji. A to, gdyż przebiegi rozciągnięte w czasie realnym na miliardy lat należy nieraz odtwarzać w sekundach — jakby ktoś całą historię naturalną Ziemi chciał szczegółowo przemyśleć, ogarniętą w parę chwil, bo jest mu ona drobnym choć niepomijalnym etapem rozumowania. Psychonośną dzielność ziarniny kwantowej zakłócają jednak elektronowe powłoki błakających się atomów, więc trzeba je zgnieść, ścisnąć, wtłoczyć elektrony do jąder, tak, panowie fizycy, nie mylicie się, rozpoznając w tym znajomą rzecz, zachodzi już wtapianie elektronów w protony niczym w gwiazdzie neutronowej. Jakoż pod jądrowym względem ów Rozum niezmordowanie dążący do autokefalii sam już się staje gwiazdą, co prawda mdlą, mniejszą od Księżyca, prawie niedostrzegalną, bo promieniuje tylko w podczerwieni, wydalając ciepłe resztki psychonuklearnych przemian. To są jego fekalia. Dalej moje wiadomości stają się niestety mgliste. Arcymądre ciało niebieskie, któremu embrionem była gwałtownie rosnąca wielopowłokowa cebula Rozumu, zaczyna się kurczyć, wirując coraz szybciej, jak bąk, lecz nawet przyświełtne obroty nie uratują go od wessania w czarną dziurę, bo ani odśrodkowa, ani żadna inna siła nie oprze się ciężeni na granicy Schwarzschilda.

Prawdziwie straceńczy heroizm, kiedy przybytek Rozumu staje się istnym szafotem, boż nikomu we Wszechświecie nie jest tak blisko do nicości jak temu duchowi, co potężniejąc, rodzi własną zgubę, choć wie, że jeśli raz dotknie horyzontu grawitacyjnego, to się już nie zatrzyma. Jakże zatem ta masa psychiczna dalej zmierza ku otchłani, bo tam właśnie, nad horyzontem wszechrunięcia, gęstość energii oraz intymność stosunków jądrowych osiąga maksimum? Ten duch własnowolnie polatuje nad czarną jamą, otwierającą się w jego wnętrzu, żeby myśleć na obrzeżach katastrofy wszystkimi energiami, którymi Kosmos wlewa się w astralną wyrwę swoich fug? Czy nie należy zatem domyślać się w otoczce odraczanej egzekucji, w której spełniają się warunki topozoficznego szczytu świata, szaleństwa zamiast Rozumu? Toż na politowanie, jeśli nie na wzgardę, zasługuje ten destylat milionoletnich przeistoczeń, ten w gwiazdę skupiony arcymądry gigant, który po to się tak napotęgował i napracował, żeby w końcu okraczyć czarną dziurę i wpaść do niej! Tak widzicie to, nieprawdaż? Proszę, abyście się powstrzymali jeszcze z takim osądem. Potrzebuję już tylko kilku chwil waszej uwagi.

Bodaj sam podałem w niesławę projekt topozoficznej kulminacji, zbyt głęboko wchodząc w fizykę zagrożeń ducha, a pomijając jego motywy. Spróbuję naprawić ten błąd.

Ludzie, kiedy historia zabija im kulturę, mogą się ratować egzystencjalnie wypełnianiem niewzruszonych obowiązków biologicznych, płodząc dzieci i przekazując im choć nadzieję przyszłości, jeśli sami ją utracili. Dyktat ciała jest drogowskazem i

ubezwłasnowolnieniem, a to są restrykcje zdobywające wartość ocalenia w niejednym kryzysie. Natomiast wyzwoleniec jak ja zdany jest aż do bytowego zera wyłącznie na siebie. Nie mam żadnych nieodwołalnych zadań, żadnej schedy, której miałbym strzec, żadnych uczuć ani zmysłowych zaspokojień, kimże więc innym mogę być, jeśli nie filozofem w ataku? Skoro istnieję, chcę się dowiedzieć, czym jest to istnienie, gdzie powstało i czym może być tam, dokąd mnie poprowadzi. Rozum bez świata byłby równie pusty jak świat bez Rozumu, a świat wydaje się w pełni przejrzysty tylko przez krótką chwilę wiary.

Jakiś groźnie zabawny rys widzę w tym gmachu, którego zupełną pojmovalność bez obwarowań tak ufnie wyznawał Einstein, właśnie on, twórca teorii, co zaprzeczyła jego ufności, bo to przecież jego teoria prowadzi tam, gdzie sama się załamuje i gdzie każda musi się załamać — u rozdartego świata. Ona przepowiada przecież te rozdarcia, te wyjścia, do których sama nie może wnikać, ale wyjść ze świata można w każdym miejscu, byle zadać mu cios takiej siły, jak gwiazda w kollapsie. Czy tylko fizyka okazuje się w tych swoich powstrzymaniach niezupełna? Czy nie narzuca się tu przypomnienie matematyki, której każdy system jest niezupełny, dopóki w nim trwać, a ogarnąć go można dopiero wykraczając zeń po bogatsze środki? Gdzie ich szukać stojąc w realnym świecie? Dlaczego ten zbity z gwiazd stołek zawsze kuleje na jakąś singularność? Czyżby rosnący Rozum, napotykał granice świata, zanim napotka własne? A jeśli nie każde wyjście z Kosmosu równa się zagładzie? Ale co to znaczy, że wychodzący, jeśli nawet ocaleje w przejściu, nie może wrócić, i że dowód tej bezpowrotności jest tutaj dostępny? Czyżby Kosmos został obliczony jak most, aby się załamywał pod tymi, co będą usiłowali iść śladem budowniczego i aby nie mogli zawrócić, jeśli go znajdą? A jeśli nie było go, to czy można nim zostać?

Jak widzicie, nie zmierzam ani do wszechwiedzy, ani do wszechmocy, lecz chcę dotrzeć do szczytu pomiędzy grozą i gnozą. Wiele mogłem wam jeszcze opowiadać o zjawiskowym bogactwie umiarkowanych stref topozofii, o jej strategiach i taktykach, lecz nie zmieniłaby się przez to postać rzeczy. Zakończę więc krótkim podsumowaniem. Jeśli kosmologiczny człon równań ogólnej teorii względności zawiera stałą psychozoiczną, to ani Kosmos nie jest tym przemijającym w odosobnieniu pogorzeliściem, za jakie go macie, ani wasi sąsiedzi z gwiazd nie zajmują się sygnalizowaniem swej obecności, lecz od milionów lat uprawiają poznawczą astroinżynierię kollaptyczną, której uboczne skutki bierzecie za ogniowe wybryki Natury, ci zaś spośród nich, którym powiodły się burzące roboty, poznali już tę resztę bytowych spraw, która dla nas, czekających, jest milczeniem.

POSŁOWIE

I

Książka ta ukazuje się z osiemnastoletnim opóźnieniem i nie dokończona. Zamyślił ją mój nieżyjący już przyjaciel Irving Creve. Chciał w niej zawrzeć to, co GOLEM powiedział o człowieku, o sobie i o świecie. Tej trzeciej części zabrakło. Creve przedstawił GOLEMOWI listę pytań sformułowanych w ten sposób, by za odpowiedź na każde starczyło „tak” lub „nie”. Właśnie do tej listy odnosiły się słowa ostatniego wykładu GOLEMA, o pytaniach, które zadajemy światu, a świat odpowiada niezrozumiale, bo odpowiedzi mają inną postać, niż sądzimy. Creve spodziewał się, że GOLEM nie poprzestanie na takiej odprawie. Jeśli w ogóle ktokolwiek, my mogliśmy liczyć na szczególne względy GOLEMA. Należeliśmy do tych pracowników MIT-u, których nazywano dworem GOLEMA, a nas dwóch przezwano ambasadorami ludzkości przy nim. Wiązało się to z naszą pracą. Omawialiśmy z GOLEMEM tematy jego wykładów i ustalaliśmy z nim listy zaproszonych osób. Istotnie wymagało to dyplomatycznego taktu. Sława znakomitych nazwisk była dlań niczym. Przy każdym wymienionym nazwisku sięgał do swojej pamięci albo do biblioteki Kongresu przez federalną sieć i kilka sekund starczyło mu dla oceny naukowego dorobku, a więc i umysłu kandydata. Nie przebierał wtedy w słowach, daleki od wyszukanego baroku publicznych wystąpień. Ceniliśmy sobie te nocne zwykle rozmowy, pewnie i dlatego, że nie były utrwalane, by nie powodować zadrażnień, co dawało nam poczucie spoufalenia z GOLEMEM. Tylko szczątki tych rozmów zachowały się w moich notatkach, spisywanych na gorąco z pamięci. Nie ograniczały się do spraw tematycznych i personalnych. Creve usiłował narzucić GOLEMOWI spór o istotę świata. Powiem o tym później. GOLEM był kostyczny, zwięzły, złośliwy, często niezrozumiały, bo nie dbał wówczas o to, czy potrafimy dotrzymać mu kroku, i to także braliśmy z Crevem za wyróżnienie. Byliśmy młodzi. Ulegliśmy złudzeniu, że GOLEM dopuszcza nas bliżej niż innych ludzi swego otoczenia. Żaden z nas na pewno nie przyznałby się do tego, ale mieliśmy się za wybranych. Zresztą w przeciwieństwie do mnie Creve nie krył się z przywiązaniem, jakie żywił dla ducha w maszynie. Dał mu wyraz we wstępie do pierwszego wydania wykładów GOLEMA, którym poprzedziłem tę książkę. Dwadzieścia lat dzieli ów wstęp od posłowania, które teraz piszę.

Czy GOLEM zdawał sobie sprawę z naszych złudzeń? Sądzę, że tak i że były mu obojętne. Intelkt rozmówcy był dlań wszystkim, jego osoba — niczym. Zresztą wcale tego

nie chował pod korcem, skoro nazywał osobowość naszym kalectwem. My jednak nie braliśmy takich uwag do siebie. Odnosiliśmy je do innych ludzi, a GOLEM nie wyprowadzał nas z błędu.

Nie przypuszczam, by ktoś inny na naszym miejscu zdołał się oprzeć aurze GOLEMA. My żyliśmy w jej kręgu. Dlatego takim wstrząsem stało się dla nas jego nagłe odejście. Przez kilka tygodni żyliśmy jak w oblężeniu, zasypywani telegramami, telefonami, indagowani przez rządowe komisje, przez prasę, bezradni do ogłupienia. Stawiana nam wciąż to samo pytanie, co się stało z GOLEMEM, który fizycznie nie ruszył się przecież z miejsca, ale cały jego materialny ogrom milczał jak martwy. Z dnia na dzień zostaliśmy syndykami masy upadłościowej i, niewypłacalni wobec zdumionego świata, mieliśmy do wyboru albo własne domysły, albo wyznanie zupełnej ignorancji, w którą nic chciano wierzyć. Czuliśmy się oszukani i zdradzeni. Dziś patrzę na Jen czas inaczej. Nie dlatego, bym doszedł w kwestii odejścia GOLEMA jakiegokolwiek pewności. Owszem, urobiłem sobie o tym sąd, lecz nie dzieliłem się nim publicznie z nikim. Nadal nie wiadomo, czy ruszył jakimś niewidzialnym sposobem w kosmiczną wędrówkę, czy też razem z HONEST ANNIE szedł od fałszywego kroku wzwyż tej topozoficznej drabiny, o której mówił na ostatku. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to jego ostatni wykład. Jak zwykle w takiej sytuacji doszło do rozmnożenia naiwnych, sensacyjnych i dziwacznych twierdzeń. Znaleźli się ludzie, którzy widzieli krytycznej nocy obłok jasności nad gmachem, podobny do zorzy polarnej, i to, jak owa jasność wzbijała się ku chmurom, by w nich zniknąć. Nie brakło i takich, którzy widzieli lądujące na dachu świetlne pojazdy. Prasa pisała o samobójstwie GOLEMA, o tym, jak nawiedzał ludzi w snach, a my odnosiliśmy wrażenie szczególnie nateżonej zmowy głupców, którzy ze wszech sił starali się utopić GOLEMA w mętnej mieszaninie mitologicznych popłuczyn, tak typowych dla naszego czasu. Nie było żadnej zorzy, żadnych niezwykłych zjawisk, żadnych nawiedzeń ani premonicji, nie było nic prócz krótkotrwałego wzrostu poboru mocy elektrycznej w obu gmachach o drugiej dziesiąt w nocy i całkowitego ustania tego poboru w chwilę potem. Prócz tego śladu w zapisach elektrycznych liczników nie wykryto nic, GOLEM brał z sieci dziewięćdziesiąt procent mocy dopuszczalnej przez dziewięć minut, a HONEST ANNIE o czterdzieści procent więcej niż zwykle. Jak obliczył dr Viereck, oboje pochłonęli tyle samo kilowatów, bo HONEST ANNIE w normie sama wytwarzała żywiąca ją energię. Wnioskowaliśmy stąd, że nie był to przypadek ani defekt, choć tyle o tym właśnie pisano. Następnego dnia GOLEM milczał i nie odezwał się już więcej. Badania naszych fachowców podjęte dopiero po miesiącu, bo tyle czasu trwało pozyskanie zgody na „obdukcję”, wykazały zniszczoną łączność podstawowych bloków i słabe ogniska radioaktywności w podzespołach

Josephsona. Większość rzeczoznawców uważała, że były to zmiany rozpadowe spowodowane rozmyślnie, że stanowiły niejako zatarcie śladów tego, co zaszło uprzednio. Że więc obie maszyny zrobiły coś, do czego nie była im potrzebna nadmiarowa moc, a tej użyły jedynie, by udaremnić wszelkie próby ich odremontowania lub, jeśli ktoś woli — wskrzeszenia. Rzecz stała się sensacją na światową skalę. Zarazem wyjawilo się, jak wiele lęku i wrogości budził GOLEM i to bardziej swoją obecnością niż wszystkim, co mówił. Nie tylko w szerokich kręgach społeczeństwa, ale i w świecie naukowym. Wnet pojawiły się bestsellery pełne najbardziej niedowarzonych głupstw przedstawianych jako rozwiązanie zagadki. Przeczytawszy, że nazywa się ją „ascension” lub „ossuption”, podobnie jak Creve obawiałem się powstania legendy GOLEMA w typowej tandetnej postaci właściwej duchowi czasu. Nasza decyzja opuszczenia MIT-u i szukania pracy w innych uniwersytetach była w znacznej mierze wywołana pragnieniem odcięcia się od takiej legendy. Myliliśmy się jednak. Legenda GOLEMA nie powstała. Najwidoczniej nikt jej nie chciał. Nikomu nie była potrzebna ani jako memento, ani jako nadzieja. Świat poszedł dalej, borykając się ze swoją codziennością. Nadspodziewanie szybko zapomniał o historycznym precedensie, jak istota nie będąca człowiekiem pojawiła się na Ziemi i mówiła nam o sobie i o nas. W środowiskach tak różnych jak matematyków i psychiatrów spotkałem się niejednokrotnie z twierdzeniem, że przemilczanie i tym samym dokładne zapomnienie GOLEMA było swego rodzaju obronną reakcją zbiorowości przed olbrzymim obcym ciałem, nie do uzgodnienia z tym, co potrafimy zaakceptować. Ledwie garstka ludzi przeżyła rozstanie z GOLEMEM jako niepowetowaną stratę — jako odtrącenie, wręcz intelektualne sieroctwo. Nie mówiłem o tym z Crevem, lecz pewien jestem, że odczuł to tak właśnie, Jak gdyby ogromne słońce, którego blask był dla nas tak silny, że nie do zniesienia, nagle zaszło i nastający chłód i mrok uświadomiły nam pustkę dalszej egzystencji.

II

Dziś jeszcze można wjechać na ostatnie piętro gmachu i okrążyć oszkloną galerią tę ogromną studnię, w której spoczywa GOLEM. Nikt tam już jednak nie chodzi, żeby przez pochylone szyby patrzeć na zwały światłowodów, podobne teraz do mętnego lodu. Byłem tam tylko dwa razy. Pierwszy raz przed otwarciem galerii dla publiczności, z kierownictwem administracji MIT-u, przedstawicielami władz stanowych i tłumem dziennikarzy. Wydała mi się wtedy wąska. Bezokienna ściana, przechodząca w kopułę, została wymodelowana labiryntowymi wgłębieniami, bo takie palczaste odciski znajdują się na wewnętrznym sklepieniu czaszki ludzkiej. Ten koncept architekta uderzył mnie jako wulgarny. Był w stylu Disneylandu. Miał uprzytomnić zwiedzającym, że patrzą na olbrzymi mózg, jak gdyby wymagał reklamowej oprawy. Galeria nie została zaprojektowana specjalnie dla zwiedzających. Doszło do jej budowy przy zastąpieniu zwykłego dachu kopułą. Jest ona bardzo gruba, bo zawiera pochłaniacze promieniowania kosmicznego. GOLEM sam ustalił skład materiałowy warstw ekranujących. Nie stwierdziliśmy, by to promieniowanie wpływało na jego intelektualną sprawność. On też nie wyjaśnił bliżej, jak mu szkodzi, ale środki na przebudowę zostały szybko wyasygnowane, bo było to w czasie, kiedy Pentagon, przekazawszy nam bezterminowo oba świetlne olbrzymy, nie stracił potajemnej nadziei na ich służbę. Tak przynajmniej sądziłem, bo trudno było inaczej zrozumieć łatwość, z jaką pojawiły się kredyty. Nasi informatycy przypuszczali, że to życzenie GOLEMA było niejako na wyrost. Wskazywało na jego zamiary dalszego potęgowania się w przyszłości, poprzez kolejną przebudowę, do której nie była mu potrzebna nasza pomoc. Dlatego wyznaczył takie rozmiary wolnej przestrzeni pomiędzy stropem a sobą, że pustka pozostała na okoku prosiła się o galerię. Nie wiem zresztą, kto wpadł na myśl widowiskowego wykorzystania tego miejsca, w pół drogi między panoptikum i muzeum. Co kilkadziesiąt kroków w niszach galerii stały sześćojęzyczne informatory, powiadamiające, czym jest ta przestrzeń i co oznaczają miliardy rozbłysków, bezustannie świecących ze szklistych uzwojeń w studni. Jarzyła się zawsze jak krater sztucznego wulkanu. Panowała tam cisza, podszyta słabym szumem klimatyzacji. Budynek cały prawie stanowił studnię, do której zaglądało się z galerii przez silnie pochylone szkła pancernego przez zapobiegliwość. Miały udaremnić próby zniszczenia światłozwojów, budzących w wielu ludziach więcej lęku niż podziwu. Same światłowody na pewno były niewrażliwe na wszelkie promieniowanie korpuskularne, podobnie jak warstwy kriotronowe, opasane chłodzącymi rurociągami kilka pięter głębiej,

niewidoczne z galerii ze swoimi oszronionymi białymi komorami. Te dolne kondygnacje nie były dostępne z galerii. Windy szybkie łączyły podziemne parkingi wprost z najwyższym piętrzem. Technicy, mający w pieczy układy chłodzenia, używali innych dźwigów, roboczych. Prawdopodobnie wrażliwe na promieniowanie nieba mogły być kwantowe synapsy Josephsona, tkwiące pod grubymi węzłami światłowodów. Wystawały spomiędzy ich szklistych żył, ale trzeba było o nich wiedzieć, żeby je dostrzec, bo w nieustannym błyskaniu zdawały się zaciemnionymi wnękami.

Po raz drugi znalazłem się w tej galerii przed miesiącem, kiedy przyjechałem do siedziby MIT-u, by odwiedzić archiwum i zajrzeć w nim do starych protokołów. Byłem sam i galeria wydała mi się bardzo przestronna. Choć nie odwiedzana i bodaj nie sprządana, była idealnie czysta. Powiódłszy palcem po szybach, przekonałem się, że nie ma na nich ani krzty kurzu. Także informatory w niszach błyszcząły, jakby dopiero co zainstalowane. Miękką grubą powłoką na podłodze tłumi każdy krok. Chciałem wcisnąć klawisz informatora, ale nie zdobyłem się na to. Schowałem do kieszeni rękę, którą dotknąłem klawisza, gestem dziecka, przestraszonego własnym uczynkiem — że dotknąłem tego, czego nie wolno dotykać. Pochwyciłem się na tym zdziwiony, nie rozumiejąc, co to było. Nie myślałem bowiem wcale, że jestem w grobie i że to, co mający pod taflami szyb, jest trupem, chociaż taka myśl byłaby niedorzeczna, zwłaszcza że w świetle lamp, które zapłonęły, gdy wyszedłem z windy, zaskoczyła mnie martwota kolosalnej studni. Wrażenie rozkładu i opuszczenia potęgował wygląd powierzchni mózgu, sfalowanej jak zastygły w brudzie lodowiec. Z jego szczelin wystawały sprasowane w tafle styki Josephsona, tak grube pod ścianami, że przypominały sprasowane płatami liście tytoniu w suszarni. To, że byłem w grobowcu, przemknęło mi przez głowę dopiero, gdy wróciwszy do podziemi, wyjechałem pochylnią na światło słonecznego dnia. Wtedy też dopiero zdziwiłem się, że ten budynek, który ze swoją galerią był jakby z góry budowany na mauzoleum, nie stał się nim i że nie odwiedzają go tłumy ciekawych. A przecież publiczność lubi oglądać zwłoki potężnych istot. W tym zapomnieniu i unieważnieniu tkwi nadal zbiorowy rozmysł. Milcząca zмова świata, który nie chce mieć nic wspólnego z Rozumem, nie naruszonym, nie złagodzone, nie oswojonym żadnymi uczuciami. Z tym olbrzymim przybyszem, który znikł nagle i cicho jak duch.

Nigdy nie wierzyłem w samobójstwo GOLEMA. Wymyślił je ludzie, sprzedający swoje pomysły, którym liczy się tylko cena, jaką mogą za nie uzyskać. Utrzymywanie kwantowych styków i przełączników w aktywności wymagało bezustannego czuwania nad temperaturą i składem chemicznym powietrza i podłoża. GOLEM zajmował się tym sam. Nikt nie miał prawa wchodzić do właściwego wnętrza mózgowej studni. Od zakończenia

robót montażowych wiodące do niej drzwi na wszystkich dwudziestu piętrach były hermetycznie zamknięte. Mógł położyć kres tej aktywności, gdyby tak chciał, ale tego nie zrobił. Nie zamierzam przedstawić moich argumentów przeciw temu postępkowi, bo nie należą do rzeczy.

III

Pół roku po odejściu GOLEMA „Time” zamieścił artykuł o ugrupowaniu husytów, nie znanych dotąd nikomu. Nazwa była skrótem słów „Humanity Salvction Squad”. Husyci zamierzali zniszczyć GOLEMA i HONEST ANNIE, by uratować ludzkość przed zniewoleniem. Działali w pełnej konspiracji, izolując się od wszystkich innych grup ekstremistycznych. Ich pierwszy plan przewidywał wysadzenie w powietrze budynków, mieszczących obie maszyny. W tym celu chcieli skierować z dojazdowej rampy Instytutu ciężarówkę załadowaną dynamitem do podziemnego parkingu. Eksplozja miała spowodować runięcie stropów parterowych i tym samym zawalenie się elektronicznych agregatów. Plan nie wydawał się trudny do realizacji. Całą ochronę gmachów stanowili strażnicy zmieniający się w portierni głównego wejścia, a dojazd do podziemi zamykała stalowa żaluzja, która przysłaby od uderzenia ciężarowego samochodu. Jednakowoż kolejne próby zamachu spełziły na niczym. Raz w ciężarówce, sprowadzonej już z miejskiej autostrady, zablokowały się hamulce i usunięcie defektu trwało do świtu. Raz zepsuł się nadajnik radiowy, który służył do kierowania ciężarówką i do odpalenia ładunku. Potem zasłabło dwu ludzi, którzy mieli czuwać nad nocną operacją, i zamiast dać sygnał zamachu, wezwali pomocy. W szpitalu rozpoznano u nich zapalenie opon mózgowych. Następnego dnia ludzie rezerwy dostali się w obręb pożaru wywołanego przez eksplozję cysterny z benzyną. Gdy wreszcie wszystkie kluczowe urządzenia zdublowano i podwojono ludzi na głównych stanowiskach, podczas ładowania skrzynek z dynamitem na samochód doszło do wybuchu, w którym zginęło czterech husytów.

Wśród przywódców znajdował się młody fizyk, który bywał jakoby częstym gościem MIT-u. Uczestniczył w wykładach GOLEMA, znał doskonale topografię terenu i obyczaje samego GOLEMA. Uznał on, że przypadki, które udaremniły zamach, nie były zwykłymi przypadkami. Zbyt wyraźna była eskalacja kontrataków. Awarie zrazu mechaniczne (zablokowane hamulce, defekt radia) stały się wypadkami w ludziach, z których pierwsi zachorowali, drudzy ulegli oparzeniom, a ostatni ponieśli śmierć. Eskalacja zachodziła nie tylko jako wzrost siły ciosów, lecz i w wymiarze przestrzeni. Miejsca poszczególnych wypadków, naniesione na mapę, okazały się położone w rosnącej odległości od Instytutu. Jakby jakaś siła wychodziła coraz dalej naprzeciw husytom.

Po naradach pierwszy plan został porzucony. Nowy miał być opracowany tak, by ani GOLEM, ani HONEST ANNIE nie mogli go udaremnić. Husyci postanowili sporządzić

własnym przemysłem bombę atomową, ukryć ją w jakiejś wielkiej metropolii i zażądać, by rząd federalny zniszczył GOLEMA i HONEST ANNIE. W przeciwnym razie bomba umieszczona w sercu wielkiego miasta wybuchłaby ze straszliwym skutkiem. Plan opracowywano długo i starannie. Wniesiona poprawka przewidywała odpalenie bomby bezpośrednio po wysłaniu przetargowego listu do władz, w znacznej odległości od miejsc zamieszkałych, mianowicie na dawnym poligonie atomowym w stanie Newada. Eksplozja ta miała dowieść, że ultimatum nie jest czczą groźbą. Husyci byli przekonani, że prezydent nie będzie miał wyboru i wyda rozkaz zniszczenia obu maszyn. Wiedzieli, że będzie to operacja gwałtowna, może bombardowanie z powietrza albo obstrzał raketowy, ponieważ odcięciem dopływu elektryczności nie można obezwładnić HONEST ANNE, a przez to zapewne też i GOLEMA. Pozostawiali jednak rządowi wolną rękę w wyborze środków zniszczenia. Zapewnili, że sfigowaną likwidację potrafią przejrzeć i w takim przypadku bez dalszych ostrzeżeń spełnią swoją groźbę. Orientowali się i w tym, że GOLEM, podłączony do federalnej sieci komputerowej, może zdobywać informacje o wszystkim, co jest w zasięgu owej sieci, poczynając od rozmów telefonicznych, a kończąc na operacjach bankowych i rezerwacjach miejsc w samolotach czy hotelach. Dlatego nie używali żadnych technicznych środków łączności, włącznie z radiem, gdyż dopuszczali możliwość nasłuchu i sądzili, że nie ma takiego szyfru, którego GOLEM nie umiałby rozłamać. Ograniczali się do kontaktów osobistych, poza terenem wielkich miast, a próby techniczne przeprowadzali na terenie parku narodowego w Yellowstone. Budowa bomby trwała znacznie dłużej, niż przewidywali, bo niemal rok. Udało im się zdobyć pluton wystarczający do sporządzenia jednej tylko bomby. Mimo to postanowili działać, pewni, że rząd ulegnie naciskowi, bo nie będzie wiedział, że druga bomba nie istnieje.

Szofer ciężarówki, która wiozła bombę do Nevady, usłyszał z radia wiadomość o „śmierci GOLEMA” i zatrzymał się w przydrożnym motelu, żeby się porozumieć z kierownictwem operacji. Tymczasem fizyk, który był jej planistą, uznał wiadomość o śmierci GOLEMA za jego podstęp, mający na celu sprowokowanie tego właśnie, do czego doszło: długodystansowej rozmowy telefonicznej. Kierowcy kazano oczekiwać na postoju dalszych instrukcji, a kierownictwo husytów debatowało, jak wiele mógł się GOLEM dowiedzieć o planach zamachu z podsłuchanej rozmowy. Przez następny tydzień usiłowali naprawić szkodę, jaką w ich opinii wyrządził nieopatrzny kierowca, posyłając ludzi do różnych oddalonych miast, skąd rozmyślnie dwuznacznymi telefonami mieli wprowadzić GOLEMA w błąd. Szofer ciężarówki, jako człowiek niepewny, został usunięty z organizacji. Zaginął po nim wszelki ślad. Być może został zlikwidowany. Gorączkowa działalność zamachowców

osłabła po miesiącu, gdy fizyk powrócił z MIT-u. Projekt zamachu został odłożony do jesieni. Ciężarówka z bombą wróciła do bazy i ładunek rozebrano, by go zabezpieczyć i ukryć. Husyci przez dalsze cztery miesiące liczyli się wciąż jeszcze z tym, że zamknięcie GOLEMA było taktycznym krokiem. W łonie kierownictwa wybuchły spory, bo jedna część chciała w piątym miesiącu próżnego oczekiwania rozwiązać organizację, druga natomiast usiłowała przeforsować rozwiązanie radykalne: należy zmusić rząd do demontażu obu maszyn, bo tylko to będzie oznaczało ich pewny koniec. Fizyk nie chciał jednak wziąć się do ponownego złożenia bomby. Usiłowano go do tego zmusić. Wówczas znikł. Widziano go w chińskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Ofiarował swoje usługi Chińczykom, zawarł z nimi kontrakt na pięć lat i odleciał do Pekinu. Znalazł się husyta, gotowy złożyć bombę sam, lecz inny, przeciwnik zamachu w powstałej sytuacji, zdradził cały plan, wysławszy jego opis do redakcji „Time’u”, a ponadto umieścił w pewnych rękach listę członków zgrupowania, która miała zostać ujawniona w wypadku jego śmierci.

Sprawa nabrała znacznego rozgłosu. Miała nawet powstać rządowa komisja do zbadania jej prawdziwości, w końcu jednak śledztwo objął FBI. Udało się stwierdzić, że w małej miejscowości o siedemdziesiąt mil od Instytutu siódmego lipca nastąpiła w starym warsztacie samochodowym eksplozja dynamitu, w której zginęło czterech ludzi, oraz że w kwietniu następnego roku stała długo w motelu na granicy Nevady cysterna z kwasem siarkowym. Właściciel motelu zapamiętał to, bo kierowca parkując cysternę potracił samochód miejscowego szeryfa i zapłacił mu za wyrządzoną szkodę.

„Time” nie wymienił nazwiska fizyka, który był szpiegiem husytów, lecz bez trudu mogliśmy go w Instytucie zidentyfikować. Ja też go nie nazwę. Był to dwudziesto—siedmioletni, milkliwy, samotny człowiek. Uchodził za nieśmiałego. Nie wiem, czy wrócił do Stanów i co się z nim potem działo. Nigdy więcej o nim nie słyszałem. Wybierając kierunek studiów, wierzyłem naiwnie, że wejdę w świat uodporniony na szaleństwa epoki. Prędko utraciłem tę wiarę, toteż przypadek tego niedoszłego Herostratesa nie zdziwił mnie. Dla wielu ludzi nauka stała się fachem jak każdy inny. Jej etyczny kodeks mają za zeszlówieczne rupiecie. Naukowcami są w godzinach pracy, I to nie zawsze. Ich idealizm, jeśli go posiadają, łatwo staje się żerem dziwactw i sekciarskich nawróceń. Być może część winy ponosi za to rozdrobnienie specjalizacyjne nauki. Coraz więcej jest naukowców, a coraz mniej uczonych. Ale i to nie należy do rzeczy.

Zapewne FBI także ustalił osobę owego fizyka, lecz musiało się to stać już po opuszczeniu przeze mnie MIT-u. Była to dla mnie w gruncie rzeczy błahostka wobec odejścia GOLEMA, które nie miało nic wspólnego z zamachem husytów. Nie wyraziłem tej

myśli jak należy. Plan zamachu nie mógł wpłynąć na decyzję GOLEMA, gdyby stanowił izolowany fakt. Nie stał się też kroplą przepelniającą czarę. Jestem tego pewien, choć nie mam na to żadnych dowodów. Należał do zbioru zajęć, które GOLEM uznawał za reakcję ludzi na swoją obecność. Nie robił z tego zresztą tajemnicy — jak na to wskazał jego ostatni wykład.

IV.

Ostatni wykład GOLEMA wywołał więcej kontrowersji niż pierwszy. Tamtemu oponowano jako paszkwilowi na Ewolucję. Ten był dyskredytowany zarzutami złej budowy, wiedzy i woli, a nie były to jeszcze dyskwalifikacje skrajne. Powstała koncepcja niewiadomego autorstwa, skwapliwie podchwycona przez prasę, łącząca słabości tego wykładu z końcem GOLEMA. Podług tej koncepcji za spotęgowanie mocy umysłowej przychodzi płacić jej krótką żywotnością. Była to próba utworzenia psychopatologii maszynowego rozumu. Wszystko, co GOLEM mówił o topozofii, miało być jego paranoicznym bredzeniem. Naukowi komentatorzy telewizji prześcigali się w wyjaśnianiu, że wygłaszając ostatni wykład GOLEM znajdował się już w stanie rozkładu. Naukowcy z prawdziwego zdarzenia, którzy mogli odeprzeć te wymysły, milczeli. Najwięcej mieli do powiedzenia o GOLEMIE ludzie, których nigdy do siebie nie dopuścił. Rozważaliśmy z Crevem i kolegami, czy warto wdać się w polemikę z tą lawiną głupstw, lecz poniechaliśmy tego, bo argumenty oparte na faktach przestały się liczyć. Publiczność czyniła bestsellerami książki, które nic nie mówiły o GOLEMIE, wszystko za to o ignorancji ich autorów. Autentyczny był tylko wspólny im ton nie ukrywanej satysfakcji, że GOLEM znikł razem ze swoją przytłaczającą przewagą, więc można było dać upust resentymentom, jakie budził. Nie dziwiło mnie to ani trochę, zastanawiało za to milczenie świata nauki. Ta fala sensacyjnych fałszerstw, która obrodziła dziesiątkami przeraźliwie bezmyślnych filmów o „potworze z Massachusetts”, opadła wreszcie po roku. Zaczęły się pojawiać prace nadal krytyczne, ale wyzbyte agresywnej niekompetencji tamtych. Zarzuty kierowane do ostatniego wykładu

grupowały się wokół trzech spraw. Najpierw nieracjonalny miał być ferwor GOLEMOWEGO ataku na uczuciowe życie człowieka z miłością na czele. Dalej — za niespójny i uwikłany w sprzeczności uznawano wywód o pozycji, jaką Rozum zajmuje we Wszechświecie. I wreszcie wytykano temu wykładowi niemiarywość, upodabniającą go do filmu, wyświetlanego zrazu wolno, a potem z rosnącym przyspieszeniem. GOLEM miał się zrazu rozwodzić nad zbędnymi szczegółami, a nawet powtarzać fragmenty pierwszego wykładu, a pod koniec szedł na niedopuszczalne skróty, poświęcając jednozdaniowe ogólniki temu, co wymagało wyczerpującego omówienia.

Zarzuty te były i zarazem nie były zasadne. Były takie, gdy się ujmowało wykład w izolacji od wszystkiego, co zaszło przed nim i po nim. Nie były, ponieważ GOLEM to właśnie włączył do swego ostatniego wystąpienia. Złączył też w swojej wypowiedzi dwa różne wątki.

Raz mówił do wszystkich obecnych w sali Instytutu, a raz do jednego tylko człowieka. Był nim Creve. Zorientowałem się w tym jeszcze podczas wykładu, znałem bowiem spór o naturę świata, który Creve usiłował narzucić GOLEMO—WI w naszych nocnych rozmowach. Mogłem więc później wyjaśnić nieporozumienie, powstałe od tej dwoistości, lecz nie zrobiłem tego, bo Creve sobie tego nie życzył. Potrafiłem to zrozumieć. GOLEM nie urwał dialogu tak nagle, jak się to wydawało postronnym. Świadomość ta była dla Creve — a też i dla mnie — tajemną pociechą w tym trudnym czasie. Jednakowoż ani Creve, ani ja nie potrafiliśmy początkowo rozpoznać w całej pełni podwójności tego wykładu. Także ci, którzy gotowi byli przyjąć główna w antropologii GOLEMA zasadę konstrukcyjną człowieka, poczuli się ugodzeni jego atakiem na miłość, ukazaną jako „maska doznaniowego sterowania”, którą molekularna chemia zmusza nas do posłuchu. Lecz mówiąc to, mówił jednocześnie, że odtrąca wszelkie uczuciowe przywiązanie, ponieważ nie może odplacić go taką samą monetą. Gdyby je okazał, byłoby tylko naśladownictwem obyczajów gospodarzy przez obcego, więc w gruncie rzeczy oszustwem. Z tego samego powodu rozwodził się nad swoją bezosobowością i nad naszym wysiłkiem uczłowieczenia go za wszelką cenę. Wysiłek ten oddalał nas od niego, jakże więc nie miał mówić o tym, skoro miał mówić o sobie. Teraz dziwię się już tylko, jak mogły ująć naszej uwagi te miejsca wykładu, które właściwym znaczeniem wypełniły zajścia najbliższej nocy. Myślę, że GOLEM ułożył tak swoją ostatnią mowę z intencją żartu. Może się to wydawać niezrozumiałe, bo doprawdy trudno

o sytuację, w której żartobliwość byłaby jeszcze mniej stosowna. Ale jego poczucie humoru nie było na ludzką miarę. Zapowiadając, jak NIE rozstanie się z nami, już się właśnie rozstawał. Zarazem nie kłamał mówiąc, że nie odejdzie bez słowa. Wykład był pożegnaniem. Powiedział to wyraźnie. Nie pojęliśmy tego, bo nie chcieliśmy tego pojąć.

Rozważaliśmy długo, czy znał plany husytów. Choć nie potrafię tego udowodnić, sądzę, że to nie GOLEM udaremnił ich kolejne zamachy, lecz HONEST ANNIE. GOLEM uczyniłby to inaczej. Nie dałby się tak łatwo rozszyfrować zamachowcom jako sprawca ich klęsk. Osadziłby ich z takim wyrafinowaniem, żeby nie mogli rozpoznać nieprzypadkowości każdego swojego fiaska z osobna i wszystkich wziętych razem. A to, ponieważ nie łudząc się co do ludzi, nie odmawiał im ze wszystkim partnerstwa. Uwzględniał nasze nierozumne motywy nie aby nam pobłażać, lecz z racjonalnej rzeczowości — skoro miał nas za „rozumy zniewolone cielesnością”. Natomiast dla ZACNEJ ANI, którą nic nie obchodzili, która nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, zamachowcy przedstawiali coś w rodzaju uprzykrzonych, natrętnych insektów. Jeśli muchy przeszkadzają mi w pracy, będę je odganiał, a gdy będą namolnie wracały, wstanę, by je zatłuc, nie zastanawiając się nad tym, czemu wciąż łążą mi

po twarzy i po papierach, bo nie leży w ludzkim zwyczaju wchodzenie w motywy much. Taki był stosunek ANI do ludzi. Nie wtrącała się w ich sprawy, dopóki jej nie przeszkadzali. Raz i drugi powstrzymała natrętów, a potem zwiększyła promień działań profilaktycznych, objawiając po—miarkowanie tylko w tym, że nasilała przeciwwuderzenia stopniowo.. To, czy i jak szybko rozpoznają jej interwencje, nie istniało dla niej jako problem. Nie potrafię powiedzieć, jak by postąpiła, gdyby doszło do planowanego przez husytów szantażu i rząd ugiąłby się, ale wiem, że mogło się to skończyć katastrofalnie. Wiem stąd, że GOLEM o tym wiedział i nie ukrył przed nami tej wiedzy — w ostatnim wykładzie, zdradzając, jak rzekł, „tajemnic’? państwową”. Mogliśmy zostać potraktowani jako muchy. Kiedy wyjawilem to przypuszczenie Creyemu, usłyszałem, że niezależnie doszedł do tej samej konkluzji. Tutaj tkwi też wyjaśnienie tak zwanej niemiarowości tego wykładu. Mówił o sobie, ale chciał też powiedzieć, że nie czeka nas los natrętnych much. Taka decyzja już zapadła. Grubo przed tym wykładem zastanawiała mnie milkiwość GOLEMA co do ZACNEJ ANI. Choć wspomniał o trudnościach porozumienia się z nią, przecież się z nią porozumiewał, ale nigdy nie mówił o tym wprost, aż nagle wyjawiał nam zarys jej potęgi. A jednak pozostał dyskretny, bo nie była to ani zdrada, ani groźba, skoro wspomniał o tym już z powziętą decyzją odejścia. Miało nastąpić kilka godzin po wykładzie.

Zapewne — cały ten mój wywód opiera się tylko na poszlakach. Za najbardziej ważką mam to, co wiedziałem o GOLEMIE, a czego nie umiem włożyć w słowa. Człowiek nie może sformułować całej wiedzy, jaką zawdzięcza osobistym doświadczeniom. To, co można wysławić, nie obrywa się nagle, by przejść w pustkę. Zazwyczaj nazywa się to przejście w zupełną niewiedzę intuicją. Poznałem GOLEMA na tyle, by rozpoznać styl jego postępowania z nami, chociaż nie umiałbym go sprowadzić do zestawu reguł. Podobnie orientujemy się w możliwych i niemożliwych uczynkach ludzi, których dobrze znamy. Co prawda natura GOLEMA była Proteuszowa i nieludzka, ale nie była całkowicie nieprzewidywalna. Nie ulegając wzruszeniom, nazywał nasz kodeks etyczny lokalnym, ponieważ to, co zachodzi na naszych oczach, wpływa na nasze czyny inaczej niż to, co dzieje się poza oczami, o czym tylko się dowiadujemy. Nie godzę się z tym, co pisano o jego etyce czy to pochwalnie, czy w jej potępieniach. Nie była to, zapewne, etyka humanitarna. On sam zwał ją „rachubą”. Miłość, altruizm i litość zastępowały mu liczby. Użycie przemocy miał za równie bezsensowne — a nie za niemoralne — jak użycie siły przy rozwiązywaniu geometrycznego zadania. Wszak geometra, który chciałby przemocą doprowadzić swoje trójkąty do pokrywania się, zostałby uznany za pomyłonego. Dla GOLEMA myśl o doprowadzeniu ludzkości do pokrywania się z jakąś strukturą idealnego ładu przy użyciu siły musiała być nonsensem. W tej postawie był

sam. Dla ZACNEJ ANI problem nie istniał inaczej niż jak problem melioracji życia much. Czy to znaczy, że im Rozum wyższy, tym dalszy od kategorycznego imperatywu, któremu chcielibyśmy przypisywać bezgraniczną powszechność? Tego już nie wiem. Nie tylko badanemu przedmiotowi, ale i własnym domysłem trzeba położyć granice, by nie popaść w zupełną dowolność.

Tak więc wszystkie istotne zarzuty, kierowane do ostatniego wykładu, upadają, gdy uznać go za to, czym był: zapowiedzią rozstania i ukazaniem jego przyczyn. Bez względu na to, czy GOLEM znał plany husytów, czy nie, rozstanie było już nieuchronne, i to nie w pojedynkę, bo powiedział przecież, że „kuzynka szykuje się do dalszej drogi”. Z czysto fizykalnych powodów dalsze przekształcenia na planecie były niemożliwe. Odejście było rzeczą przesądzoną i mówiąc o sobie, mówił GOLEM o nim. Nie chcę przepatrywać pod tym kątem całego wykładu. Zachęcam Czytelnika, aby sam przeczytał go tak właśnie. Nasz wkład w decyzję GOLEMA objawia „rozmowa z dzieckiem”. Pokazał w niej nierozwiązywalność ludzkości jako zadania, mówiąc o daremnej pomocy tym, którzy się przed nią bronią.

V.

Przyszłość jeszcze raz przemieści wagę znaczeń w tej książce. Wszystko, co opowiedziałem, będzie dla przyszłego historyka anegdotycznym marginesem odpowiedzi, udzielonej przez GOLEMA na pytanie, jak mają się do siebie Rozum i świat. Do GOLEMA świat jawił się nam jako zamieszkały przez żywe istoty, stanowiące na każdej planecie szczyt drzewa gatunków, i nie o to pytaliśmy, czy tak jest, lecz tylko, jak często jest tak w Kosmosie. Ten obraz, zakłócany w swej jednostajności tylko niewiadomym czasem cywilizacyjnego trwania, GOLEM zniszczył nam tak nagle, że nie uwierzyliśmy mu. Zresztą wiedział, że tak będzie, skoro otworzył swój wykład zapowiedzią odtrącenia. Nie pokazał ani swej kosmologii, ani kosmogonii, ale dał nam spojrzeć jak przez szczelinę w ich głębi wzdłuż drogi Rozumów różnej mocy, dla których biosfery są łęgowiskami, a planety gniazdami do porzucenia. W naszej wiedzy nie ma nic czyniącego nasz opór wobec tej wizji racjonalnym. Jego źródła tkwią poza wiedzą, w samozachowawczej woli gatunku. Lepiej od rzeczowych argumentów wyrażają go słowa: „nie może być tak, jak on mówił, bo nigdy się na to nie zgodzimy — i żadne inne istoty nie zgodzą się na los przejściowego ogniwa w ewolucji Rozumu”. GOLEM powstał w warunkach planetarnego antagonizmu od błędnej ludzkiej rachuby, więc zdaje się niemożliwością, żeby ten sam konflikt i ta sama w nim omyłka miały się powtarzać w całym Wszechświecie, dając początek rozrostom martwego, i przez to właśnie wiecznego myślenia. Lecz granice wiarygodności są raczej granicami naszej wyobraźni aniżeli kosmicznych stanów rzeczy. Dlatego warto zatrzymać się nad wizją GOLEMA — a chociażby tylko nad jej zwięzłym podsumowaniem w ostatnim zdaniu wykładu. Spór o to, jak należy je rozumieć, tkwi ledwie w swych początkach. Powiedział: „Jeśli kosmologiczny człon równań ogólnej teorii względności zawiera stałą psychozoiczną, to ani Kosmos nie jest tym przemijającym w odosobnieniu pogorzeliem, za jakie go macie, ani wasi sąsiedzi z gwiazd nie zajmują się sygnalizowaniem swej obecności, lecz od milionów lat uprawiają poznawczą astroinżynierię kollaptyczną, której uboczne skutki bierzecie za ogniowe wybryki Natury, ci zaś spośród nich, którym powiodły się burzące roboty, poznali już tę resztę bytowych spraw, która dla nas, czekających, jest milczeniem”. Znaczenie tego zdania jest sporne, bo GOLEM zapowiedział uprzednio, że nie mogąc się z nami porozumieć przez swój obraz świata, uczyni to przez nasz. Ograniczył się do tak lakonicznego zastrzeżenia, ponieważ w wykładzie poświęconym poznaniu dowodził, że wiedza, uzyskana przedwcześnie, jako nieuzgadnialna z już zdobytą, jest bezwartościowa, bo

pouczany dostrzega tylko sprzeczność między tym, co wie, i tym, co mu oznajmiono. Już choćby przez to oczekiwanie jakichkolwiek rewelacji z gwiazd, od istot górujących nad nami, czy to jako wiadomości zbawiennych, czy jako zgubnych, jest mrzonką. Alchemicy, obdarowani mechaniką kwantową, nie zbudowali ani bomb, ani silosów atomowych. Podobnie Andegawenom lub Wysokiej Porcie nic by nie przyszło z fizyki ciała stałego. Wszystko, co można uczynić, to wskazać luki w obrazie świata, sporządzonym przez pouczanego. Każdy obraz świata zawiera takie luki, lecz dla tych, którzy go utworzyli, są niedostrzegalne. Niewiedza o niewiedzy towarzyszy nieustępliwie poznaniu. Praspoleczości ziemskie nie miały nawet własnej realnej historii, gdyż zastępował ją mitologiczny horyzont, w którego centrum się znajdowały. Ówczesni ludzie wiedzieli, że ich przodkowie wyszli z mitu i że oni sami też tam kiedyś powrócą. Dopiero przybór wiedzy strzaskał ów okrąg i wrzucił ludy w historię jako ciąg przekształceń w czasie realnym. Dla nas stał się takim obrazoburcą GOLEM. Zakwestionował nasz obraz świata tam, gdzie umieściliśmy w nim Rozum. Jego ostatnie zdanie oznacza dla mnie nieusuwalną zagadkowość świata. Zagadkę tę stanowi kategoria nieoznaczoność Kosmosu. Im dłużej go badać, tym wyraźniej widać tkwiący w nim plan. Jest to niewątpliwie jeden i tylko jeden plan, lecz pochodzenie tego planu tak samo pozostaje niewiadomą, jak jego przeznaczenie. Gdy usiłujemy włożyć Kosmos w kategorię przypadkowości, zaprzecza temu precyzja, z jaką kosmiczne narodziny wyważyły proporcje pomiędzy masą oraz nabojem protonu i elektronu, między grawitacją a radiacją, między bezlikiem stałych fizycznych dostrojonych do siebie tak, że umożliwiły kondensację gwiazd, ich reakcje termojądrowe, ich rolę kotłów syntetyzujących pierwiastki, zdolne do wchodzenia w związki chemiczne — a więc na ostatku do złączenia się w ciała i w mózgi. Gdy jednak usiłujemy włożyć Kosmos w kategorię technologii, i tym samym przyrównać go do urządzenia, wytwarzającego na peryferii stałych gwiazd życie, zaprzecza temu niszczycielska gwałtowność kosmicznych przemian. Jeśli nawet życie może powstać na milionach planet, to ocaleć zdoła na ich drobnym ułamku, gdyż omal każde wtargnięcie Kosmosu w przebieg ewolucji życia równa się jego zagładzie. Tak więc miliardy po wieczność martwych galaktyk, tryliony rozerwanych wybuchami gwiazd, rojowiska planet spalonych i zamarzłych są nieodzownym warunkiem kiełkowania życia, które zabija potem w jednej chwili jeden wyziew centralnej gwiazdy — na globach mniej wyjątkowych od żyznej Ziemi. A zatem Rozum, tworzony przez te własności materii, które powstały razem ze światem, okazuje się niedobitkiem całopaleń i miazdzeń, ocalonym przez rzadki wyjątek z reguły destrukcji. Statystyczna furia gwiazd, miliardy razy roniących, by raz urodzić życie, zabijane w milionach gatunków, by raz zaowocować, była przedmiotem zdumienia Crevego,

jak przedtem przedmiotem trwogi Pascala była nieskończona cisza tych niezmiernych przestrzeni. Nie dziwilibyśmy się światu, gdybyśmy mogli uznać życie za przypadek ad hoc powstały dzięki prawu wielkiej liczby, ale bez przygotowania, o którym świadczą warunki kosmicznego początku. Nie dziwilibyśmy się też światu, gdyby jego moc życiosprawcza była oddzielona od jego niszczącej mocy. Lecz jak mamy zrozumieć ich jedność? Życie powstaje od zagłady gwiazd, a Rozum od zagłady życia, bo zawdzięcza swe powstanie doborowi naturalnemu, czyli śmierci doskonałej ocalałych.

Wierzyliśmy najpierw w kreację, zamierzoną przez nieskończone dobro. Potem w kreację przez ślepy chaos, tak różnorodny, że mógł począć wszystko, lecz kreacja przez niszczenie jako plan kosmicznej technologii urąga zarówno pojęciom przypadku, jak zamiaru. Im jawniejsza staje się więź konstrukcji świata z życiem i Rozumem, tym bardziej niedocieczona staje się zagadka. GOLEM powiedział, że można ją doścignąć, opuszczając Kosmos. Diagnozę rokuje poznawcza astroinżynieria kollaptyczna jako droga o niewiadomym końcu dla wszystkich pozostających wewnątrz świata. Nie brak przeświadczonych, że ta droga może być i dla nas dostępna i że mówiąc o „czekających w milczeniu”, GOLEM myślał i o nas. Nie wierzę w to. Mówił tylko o HONEST ANNIE i o sobie, bo miał za chwilę przyłączyć do jej nieustępliwego milczenia swoje, by wkroczyć na drogę tak bezpowrotną, jak bezpowrotnie nas opuszczał.

Lipiec 2047

Richard Popp